CARRIE ALEXANDER

Kochliwa Augustyna

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Myszka i matrona

Augustyna Fairchild rozsunęła kretonowe zasłony z takim fozmachem, jakby stała na scenie, obserwowana przez kilka setek widzów.

Postanowiła właśnie wziąć los w swoje ręce i zacząć nowe życie. Od dzisiaj sama będzie decydować o sobie! Od dzisiaj to ona przyjmie główną rolę w tej sztuce!

Wyjrzała przez okno i odetchnęła głęboko. Słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie. Świeży zapach sosnowego lasu, dzielącego ich posesję od oceanu, mieszał się ze słodką wonią lawendy i słonym morskim powiewem.

To nic, że z jej sypialni na drugim piętrze rozpościerał się ten sam co zawsze widok na wypieszczone bukszpanowe szpalery, rozległe, nieskazitelnie przystrzyżone trawniki otoczone wygracowanymi ścieżkami, na małą fontannę pośrodku ogrodu i wielobarwne kępy kwiatów, błyszczących teraz od rosy.

Dla Augustyny nie miało to żadnego znaczenia, gdyż od dzisiaj zmienił się sposób, w jaki ona sama postrzegała świat. Albo tak się jej zdawało.

- Najwyższy czas, dziewczyno - powiedziała na głos, żeby dodać sobie otuchy.

Oparła ręce na wygrzanym przez słońce parapecie i spró-

bowała podsumować swoje dokonania. Wynik był gorzej niż mierny.

Miała prawie dwadzieścia pięć lat i była równie bezużyteczna jak wiktoriańskie bibeloty należące do jej Babki. Innymi słowy, w ich wielkim, rodowym domostwie była jedynie ozdóbnym rekwizytem, a te - jak wiadomo - gromadzi się po to, żeby kurz miał na czym osiadać.

Jej główne zajęcie polegało na pielęgnacji ogrodu, co było czystą fikcją, zważywszy, że zajmował się tym zatrudniony na pół etatu ogrodnik, oraz na wyszywaniu krzyżykowym ściegiem makatki, co zajęło jej dokładnie rok, trzy miesiące i piętnaście dni. Naprawdę nie było się czym chwalić!

W tym czasie jedna z jej koleżanek ze szkoły panny Fibbing-White zdążyła wyjść za mąż, urodzić dziecko i zaprojektować kilka śmiesznych, małych torebek, które lansowane były przez takie pismo jak „Vogue". Druga wyjechała do Brazylii, żeby chronić tamtejsze lasy tropikalne. Augustyna - zwana pieszczotliwie Gussy - co jakiś czas dostawała od nich kolorowe pocztówki. Nawet ta straszna Phoebe Beecham zrobiła coś w rodzaju kariery, skoro jej zdjęcia z księżną Fergie ukazywały się co chwila we wszystkich plotkarskich magazynach. A największym towarzyskim sukcesem Gussy było zorganizowanie bufetu z przekąskami podczas dorocznych regat miejscowego jachtklubu.

Zerknęła na makatkę, ciśniętą niedbale na oparcie fotela. Od niej wszystko się zaczęło.

Z powodu burzy cały wczorajszy dzień spędziła w domu razem z Babką Throckmorton. Siedziały razem przed kominkiem w bibliotece i wyszywały. Po południu Gussy po raz ostatni wbiła igłę w materiał, zrobiła supełek i rozpostarła gotowe dzieło na podłodze. Babka odłożyła swoją robótkę i schyliła się, żeby rozprostować fałdy na makatce.

- **Koniec** wieńczy dzieło - zaczęła zadowolonym tonem. - **Sama** widzisz, Augustyno że warto było nieco się natrudzić. Jestem pewna, że wykonanie czegoś tak ładnego, a przy tym Uzytecznego, sprawiło ci wyjątkową satysfakcję.

W tej samej chwili Gussy poczuła się jak granat, który za chwlę wybuchnie. Miała ochotę wstać i wrzasnąć na całe gardło, że nie czuje żadnej satysfakcji. Omal tego nie zrobiła. Pohamowała się jednak, jak zwykle. Wewnętrzna inercja, dzięki której od lat grała rolę posłusznej wnuczki, natychmiast dała o sobie znać. Przecież Babka Throckmorton uważała mówienie podniesionym głosem za coś wyjątkowo niestosownego!

I tak Gussy stuliła uszy po sobie, zwinęła makatkę i poszła do łóżka. Ale nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok i z, brzucha na plecy, aż w końcu o drugiej nad ranem usiadła i podjęła postanowienie, że od tej chwili do końca życia sama będzie kierować swoim losem.

Wiedziała, że jeśli nie dotrzyma postanowienia, za trzydzieści lat obudzi się jako dokładna kopia swojej Babki: sztywna, surowa i zadowolona z wygodnego życia bez wrażeń i niespodzianek. A zatem, poczynając od świtu następnego dnia, Augustyna Izabela Throckmorton Fairchild postanowiła odmienić swoje życie.

Dopiero dzwonek budzika, który odezwał się o siódmej rano, tak jak co dzień od czterech lat, uświadomił jej, że nie ma najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać. Próbowała wygrzebać z pamięci strzępy wiedzy, które wtłaczano jej do głowy na lekcjach fizyki. Bezwładność każdego ciała materialnego polega na zachowaniu jednakowego stanu ruchu. Tylko siła zewnętrzna może stan ten zakłócić.

W przypadku jej własnego ciała znaczyło to, że będzie wykonywać te same co zawsze rutynowe czynności, dopóki nie zadziała na nie dostatecznie silny bodziec z zewnątrz. Bodźce

wewnętrzne chyba się nie liczyły, ale nie była tego do końca pewna.

A zresztą nie miało to większego znaczenia. Gussy z trudem wystarczało sił, żeby odmówić zjedzenia owsianki na śniadanie,

Wiedziała, że każda zmiana wymaga odwagi i zdecydowania, a tymczasem ona nie czuła nigdy potrzeby wykształcenia w sobie żadnej z tych cech. Teraz chyba było na to za późno. Od dzieciństwa wolała zachowywać się jak miła dziewczynka i odbierać pochwały od dziadków.

Już w kolebce uznała, że nie jest ani taka błyskotliwa i bystra jak jej starsza siostra April, ani tak żądna przygód i silnych wrażeń jak jej rodzice. Była tylko spokojną, porządną Gussy, solidną jak skała, ale łatwą do przeoczenia. Co zresztą często przytrafia się skałom. Chyba że ktoś wpadnie na nie przypadkiem. ..

I taka oto Gussy musiała odmienić swoje życie. Znaleźć sposób na ucieczkę przed planami, jakie żywiła wobec niej Babka. Nie mówiąc już o pradziadku. Na samą myśl o starym człowieku mieszkającym zaledwie dwa pokoje dalej Gussy zadrżała i rzuciła się do okna. Wprawdzie Eliasz Quincy Throckmorton miał dziewięćdziesiąt cztery lata, podagrę, kataraktę, kłopoty ze słuchem i od dłuższego czasu nie opuszczał łóżka, ale w ciągu kilku sekund wyczuwał każdy powiew świeżego powietrza na drugim piętrze i wszczynał alarm.

Poza tym wciąż był niekwestionowaną głową rodziny. Jego woli ulegała nawet Babka.

Zamykając okno, Gussy zauważyła mężczyznę w białym garniturze, który szedł podjazdem w stronę frontowych drzwi. Andrews Lowell, pomyślała i uśmiechnęła się protekcjonalnie.

Andrews został bowiem wybrany przez Babkę na głównego kandydata do ręki Augustyny. Był niemal tak porządny i solidny jak ona. Gussy wiedziała, że może na niego liczyć, co było tyleż

wygodne, co nudne. I jeszcze jedno. Pięćdziesiąt lat temu Marian May Andrews poślubiła E. Q. Throckmortona juniora i W konsekwencji stała się - przynajmniej dla Gussy i jej siostry - Babką przez wielkie B. A więc, jeśli Augustyna Fairchild poślubi Andrewsa Lowella, koło się zamknie i za następne pięćdziesiąt lat... Nie. Lepiej o tym nie myśleć. To zbyt ponura wizja.

Nagle w polu jej widzenia pojawiła się nowa postać. Mężczyzna. W dodatku zupełnie nieznany. Gussy zamrugała oczami. Ktoś obcy w maleńkim Sheepshead Bay w stanie Maine był, poza sezonem turystycznym, absolutną rzadkością. Ten wyglądał dokładnie jak jeden z tych ludzi, przed którymi Babka zawsze przestrzegała Gussy i jej siostrę April. Jedynym efektem przestróg Babki było to, że April flirtowała jak szalona ze wszystkimi przedstawicielami tego gatunku. Oczywiście tylko wtedy, kiedy udało się jej umknąć czujnym oczom opiekunek. Gussy z kolei, jako osoba mniej przedsiębiorcza i bardziej uległa, uciekała w fantastyczne marzenia, których nawet Babka nie mogła kontrolować.

Rozpłaszczyła nos na szybie, żeby lepiej przyjrzeć się przybyszowi. Nie przypominał żadnego z jej znajomych. Nie, nie wyglądał podejrzanie. Raczej wyzywająco. Był po prostu bardzo... męski. Co za odmiana po tych wszystkich fajtłapach, z którymi miała dotąd do czynienia!

- Nie ruszaj się! - mruknęła pod jego adresem i popędziła po okulary.

Polecenie zadziałało. Kiedy wróciła, mężczyzna wciąż znajdował się w jej polu widzenia. Klęczał obok rozrośniętych kęp piwonii, jakby czegoś szukał. Miała nadzieję, że nie była to ślubna obrączka.

Nałożyła na nos okulary w cienkich, złotych oprawkach, żeby go lepiej zobaczyć. A raczej, zachichotała, żeby lepiej

widzieć jego pośladki, gdyż właśnie wtedy nieznajomy zanurkował głową w krzaki. Pośladki zresztą miał bardzo zgrabne, skonstatowała zaskoczona własnym zuchwalstwem. Do dzisiaj obce jej były podniety w postaci męskich pośladków wbitych w opięte dżinsy.

Najwyraźniej nowa Augustyna Fairchild była trochę bezwstydna.

Mężczyzna wstał, otrzepał dłonie i włożył je do kieszeni, po czym uważnym spojrzeniem zmierzył cały ogród i ciągnący się dalej lasek. Miłośnik przyrody, pokiwała głową Gussy, zadowolona, że dał jej czas na dalsze obserwacje.

Miał krótkie, ciemnobrązowe włosy, szerokie ramiona i muskularne ręce. Wydawało się jej, że spod wysoko podwiniętych rękawów sportowej koszuli wystaje co najmniej jeden tatuaż, Babka Throckmorton uważała, że tatuaże są wyjątkowo prostackie, ale Gussy w tajemnicy nie podzielała jej opinii.

Westchnęła przeciągle. Nawet z tej odległości tajemniczy nieznajomy był niesłychanie pociągający. Nie mogła się powstrzymać i wyobraziła sobie, że leży w jej łóżku, całkiem nagi. Brąz jego skóry kontrastował pięknie z nieskazitelną bielą pościeli. Mięśnie ramion były jak wyrzeźbione w kamieniu. Kiedy zapraszającym gestem podniósł róg kołdry, jego wielkie i silne dłonie poruszały się łagodnie i miękko.

Pokręciła głową z niedowierzaniem. Nie mogła już mówić, że nowa Augustyna jest trochę bezwstydna. Ona była kompletnie bezwstydna.

Spojrzała w dół jeszcze raz, ale młody człowiek zniknął. Miała nadzieję, że właśnie teraz puka do drzwi i pyta o nią. A nadzieje jej nie były pozbawione podstaw.

Od kiedy Babka uznała, że jak na pannę gotową do małżeństwa, Gussy zbyt długo pozostaje w panieńskim stanie, i rozpuściła wici wśród swoich przyjaciółek, w domu zaczęły pojawiać

się tłumy młodych ludzi płci męskiej,czekających na aprobatę dziedziczki połowy fortuny Throckmortonów. Mimo że żaden z nich nie wydawał się Gussy szczególnie interesujący, przyjmowała ich zaproszenia na pikniki, przejażdżki żaglówką oraz partie golfa i tenisa w pobliskim klubie. W rezultacie podczas ostatnich czterech tygodni miała więcej randek niż przez cztery Ubiegłe lata. To wciąż było nic w porównaniu z sukcesami April, którą okrzyknięto Debiutantką Roku, ale Gussy nie zamierzała narzekać.

Zastanawiając się, czyim kuzynem może być młodzieniec pukający właśnie do drzwi, wpadła do garderoby. Nie było powodu, żeby zawierać nową znajomość w znoszonych szortach i powyciąganej bluzie z nadrukiem „Obóz skautów w Skowhegan". Letnia sukienka na szelkach, z zamaszystą, kloszową spódnicą nadawała się do tego znacznie lepiej. O ile oczywiście Babka nie zauważy głębokiego dekoltu na plecach i nie odeśle jej, żeby się przebrała.

Nowa Gussy uznała, że może pozwolić sobie na kompromis, O ile oczywiście jest korzystny dla niej, i zawiązała na ramionach lekki sweter w kolorze dojrzałego melona.

Jeszcze tylko rzęsy i popielato-niebieska kreska w kąciku oka. Efekt jest zadowalający, stwierdziła, patrząc w lustro, szczególnie jak na kogoś, kto nie jest powszechnie uznaną pięknością. Spodobały się jej zaróżowione z podniecenia policzki i błysk źrenic. Odłożyła okulary i zbiegła na dół.

W holu spotkała Rozalindę, nocną pielęgniarkę pradziadka, wiecznie uśmiechniętą, pulchną Jamajkę z twarzą czarną jak heban, która przekazywała właśnie zmianę siostrze Schwarthoff, pielęgniarce dziennej, uchodzącej w rodzinie za wzór niemieckiej dokładności i rzetelności.

- Jak się czuje pradziadek? - szepnęła Gussy do Rozalindy, kiedy Schwarthoff w wykrochmalonym czepku i bezszelest-

nych ortopedycznych butach zniknęła za zakrętem schodów. - Czy mam wejść teraz do niego i powiedzieć dzień dobry?

Nie miała na to ochoty, ale w głębi duszy wiedziała, że powinna to zrobić. Poczuła prawdziwą ulgę, kiedy Rozalinda mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Teraz? Po to, żeby narazić się na wykład Schwarthoff o tym, że przerywanie śniadania powoduje szybkie stygnięcie owsianki? Zresztą, wydaje mi się, że Eliasz będzie spać przez

cały dzień.Wskazała palcem na kieszeń nylonowego fartucha, z której wystawała talia kart i notes z rubrykami, wypełnionymi długimi kolumnami cyfr. Jedyną przyjemnością, jaka została Eliaszowi,były nocne partie kanasty, w którą grał z Rozalinda na pieniądze, po cencie za punkt.

- Rosy! - Gussy udała oburzenie. Potem parsknęła śmiechem i zapytała: - Ile od niego wyciągnęłaś?

Rozalinda poruszyła kieszenią, w której zabrzęczały monety.

- Wystarczająco dużo, żeby zapłacić wpisowe za szkołę mojej córki. - Jej melodyjny śmiech odbił się echem od ścian przestronnego, wysokiego na dwa piętra holu.

Gussy zazdrościła jej łatwości kontaktów z pradziadkiem. Ona sama w jego obecności upodobniała się do przerażonej myszki i na nic zdały się rady Rozalindy, żeby nie przejmować się pokrzykiwaniami starego pana i jego nieznośnym zwyczajem walenia laską w podłogę, kiedy był z czegoś niezadowolony.

Pamiętaj, powtórzyła sobie w myślach po wyjściu pielęgniarki, że od dzisiaj nie jesteś już tchórzliwą myszką!

Teraz należało sprawdzić w praktyce, czy rzeczywiście tak jest. Konfrontacja z Babką odpadała. Na to Gussy nie była jeszcze gotowa. Ale gdyby tak zrobić eksperyment z Thwaite'em? Na palcach podeszła do biblioteki i zajrzała do środka. W środku pa-

nował półmrok. Kominek był wymieciony do czysta. Obok, w specjalnym koszu, leżały nowe polana. Thwaite już tu był.

Oficjalny salon był pusty jak zwykle. Postanowiła zajrzeć do Orinżerii przez jedno z francuskich okien. Kiedy wsadziła głowę do środka, aż westchnęła ze zdumienia, a potem zatrzasnęła okno tak mocno, że zatrzęsły się wszystkie szyby, i tak szybko, że żaden z siedzących tam mężczyzn nie zdążył zareagować.

- Panno Augustyno?

Drgnęła i obejrzała się do tyłu. Za nią stał Thwaite. Podszedł ją bezszelestnie, jak zwykle. Według Babki, Thwaite był chodzącym wzorem dyskrecji. Gussy natomiast uważała jego ciągłe skradanie się za wstrętne.

Miała siedem lat, kiedy przyłapał ją na podglądaniu April, która w altanie bawiła się w lekarza z Vitem Carluccim, synem szofera, i od tamtej pory nie mogła mu tego wybaczyć.

- Thwaite? - Oparła się mocno o ścianę, żeby dodać sobie pewności..- Chciałabym wiedzieć, kogo wprowadziłeś do oranżerii?

- Dżentelmenów, którzy przybyli złożyć panience wizytę. - Stary lokaj skrzywił się, jakby połknął cytrynę.

- Ale ich jest trzech! - Gussy wiedziała, że serce wali jej bynajmniej nie z powodu obecności Andrewsa Lowella i Billyego Tuttle'a.

- Jak najbardziej, panno Augustyno.

- Kim jest ten trzeci?

- Wydaje mi się - Thwaite poruszył nozdrzami, jakby chciał okazać swoją dezaprobatę - że podał nazwisko Kelley.

Gussy przygryzła wargę. Ciekawe. W całym Sheepshead nie było nikogo o nazwisku Kelley, przynajmniej w tych sferach, w których obracali się Throckmortonowie.

- Czy mogłabym się dowiedzieć, kiedy zamierzałeś poinformować mnie o ich przybyciu?

- W stosownym czasie, panno Augustyno. Przypominam o śniadaniu. Babcia czeka na tarasie. - Thwaite wyciągnął z kieszonki kamizelki zegarek i ostentacyjnie sprawdził godzinę. - Spóźniła się już panienka osiem minut.

Gussy westchnęła ciężko. O ile czasami udawało się uniknąć spotkania z pradziadkiem, o tyle wspólne śniadanie z Babką było absolutną koniecznością. Nawet dla jej nowego wcielenia.

Trudno. „Dżentelmeni, którzy przybyli złożyć jej wizytę", będą musieli poczekać. Zimno skinęła głową lokajowi i skierowała się w stronę jadalni. Drzwi na taras wyłożony różowym granitem stały otworem: po czterech dniach mgły i deszczu na dworze nareszcie zaświeciło słońce. Ocean miał szmaragdową barwę, a fale rozbijały się o brzeg tysiącem błyszczących kropel.

Marian May Andrews Throckmorton siedziała w cieniu ogromnego parasola i czekając na wnuczkę, piła spokojnie kawę. Mimo swojego wieku wciąż była przystojną kobietą, zadziwiająco szczupłą jak na kogoś cechującego się podobną siłą charakteru. Mając siedemdziesiąt jeden lat trzymała się prosto, lepiej niż niejedna młoda dziewczyna.

Gussy przystanęła w progu, odwlekając chwilę spotkania. Dopiero pojawienie się Thwaite'a sprawiło, że podeszła energicznym krokiem do Babki i pocałowała ją w policzek pachnący talkiem, lawendową wodą kolońską i płynem do płukania ust.

- Dzień dobry, Babciu.
- Dzień dobry, Augustyno. Nie mamrocz pod nosem, proszę.
- Przepraszam, nie będę - odpowiedziała jak automat.

Thwaite podszedł do jej krzesła i jednym dobrze wyliczonym ruchem dosunął ją do stołu tak, że poczuła się zamknięta w pułapce. Wszystko działo się tak, jakby nigdy nie podjęła postanowienia, że zmienia swoje życie. Potem na jej kolanach wylą-

dowała serwetka, którą lokaj wysunął ze srebrnego kółka leżącego obok talerza.

- To wszystko, Thwaite. Dziękuję. - Marian bezlitośnie odesłała lokaja, kiedy był w trakcie podnoszenia srebrnych pokrywek i przesuwania półmisków z ciepłymi bułeczkami, jajecznicą, płatkami owsianymi i nie wiedzieć czym jeszcze.

Zwlekał z odejściem na tyle długo, że zdążył jeszcze podsunąć Gussy miseczkę z owsianką. Dopiero potem odwrócił się i oddalił z godnością, bezgłośnie jak zwykle, nie zauważając nawet morderczego spojrzenia, które Augustyna wbiła w jego plecy.

Odkąd sięgnąć pamięcią, wszyscy Throckmortonowie aplikowali młodym pokoleniom owsiankę i tran, ponieważ wierzyli święcie w ich właściwości zdrowotne. To prawdopodobnie było przyczyną ponurego charakteru pradziadka. Gussy od dnia swoich osiemnastych urodzin była zwolniona z picia tranu, wciąż jednak musiała jeść owsiankę, mimo że serdecznie jej nienawidziła.

Teraz stanowczym ruchem odstawiła miseczkę. Marian była zaskoczona, ale nie powiedziała ani słowa, być może dlatego, ze miała pełne usta owsianki.

- Zjem tylko drożdżówkę z jeżynami - oświadczyła Gussy, siegając po srebrny dzbanek z sokiem.

Fuj! Dzisiejszego dnia serwowany był nektar ze śliwek. Niełatwo żyć pod jednym dachem z kobietą, która robi wyłącznie to, co jest zdrowe lub odpowiednie dla osoby w jej wieku!

Babka, nie zwracając uwagi na słowa Gussy, podała jej talerz z jajecznicą.

- Jestem już spóźniona...

Przerwała. Nie miała zamiaru mówić o trzecim dżentelmenie, który czeka na nią w oranżerii. Tymczasem Babka niespiesznie przebiegła wzrokiem wszystkie półmiski i dołożyła Gussy smażoną kiełbaskę.

- Niech chłopcy poczekają na ciebie - oświadczyła.

Ależ papla z tego Thwaite'a, pomyślała Gussy z niesmakiem. Zdążył wszystko opowiedzieć. Chociaż... Nie, to niemożliwe, żeby Babka nazwała chłopcem nieznajomego człowieka. A Kelley bez wątpienia był tutaj kimś obcym.

- Każda młoda dama powinna zachowywać się powściągliwie.

- Tak, Babciu.

Gussy opuściła głowę. April, będąc na jej miejscu, chichotałaby teraz w serwetkę i od dawna miałaby w głowie gotowy plan randki z nieznajomym przystojniakiem. Co więcej, jej sprytna siostra doprowadziłaby do spotkania tuż pod nosem Babki i nie dałaby się złapać na gorącym uczynku. Tymczasem ona słucha potulnie i już podczas pierwszego starcia z kimś silniejszym wycofuje wojska. Na przyszłość powinna lepiej planować swoje bitwy.

Pasiasty parasol zatrzepotał na wietrze. Marian odpędziła serwetką namolną pszczołę i spojrzała na wnuczkę.

- Jak postępują zaloty Andrewsa? - zapytała.

Zaloty! Gussy zakrztusiła się kawałkiem drożdżówki. Jeśli Babka myśli na serio, że Gussy zaręczy się z Andrewsem, bardzo się myli. A nawet jeśli do tego dojdzie, to na pewno nie teraz. Musi najpierw spróbować kogoś lub czegoś innego.

- Nie doszło między nami do żadnych ustaleń, jeśli o to Babci chodzi. - Gussy odchrząknęła i po krótkiej pauzie dodała: - Myślę jednak, że wybiorę się na przejażdżkę żaglówką z...

Rzuciła na Babkę ukradkowe spojrzenie. Nic nie wskazywało na to, że starsza pani wie o obecności wytatuowanego młodzieńca. Uznała więc, że bezpieczniej będzie trzymać ją w nieświadomości. W przeciwnym razie mogłaby zarządzić, żeby Gussy trzymała się od niego z daleka.

- ... Billym Tuttle'em - dokończyła słabym głosem.

- Świetnie. - Babka kiwnęła głową. - Niech Andrews nie będzie taki pewny swego.

Tego jeszcze brakowało! Żeby ktoś w wieku Marian Throckmorton dawał jej rady, jak postępować z mężczyznami. Gussy w milczeniu dokończyła bułeczkę i ukryła nietkniętą kiełbasę pod resztkami jajecznicy. Nie było sensu dyskutować z dziewiętnastowiecznymi poglądami na temat stosunków męsko-damskich. Jeśli Babka wierzy, że Gussy wciąż jest dziewicą, niech tak zostanie. Ona nigdy nie miała śmiałości, żeby ogłosić, że to nieprawda. Nie musiałaby udawać, gdyby kilka lat temu wyrwała się z domu na wolność. Tak jak April.

- Augustyno! Gdzie twoje maniery! - usłyszała nagle. - Przestań bawić się jedzeniem.

- Przepraszam. - Gussy odłożyła sztućce i zebrała się na odwagę. - Babciu, postanowiłam...

- Mów głośniej, dziecko. Dobrze wychowane osoby nie szemrzą pod nosem.

- Postanowiłam...

Gussy czuła, jak zaciska się jej gardło. Wyrzuć to z siebie, popędzała się w duchu. Powiedz jej, że postanowiłaś sama decydować o swoim życiu. Zrób to. Teraz albo nigdy.

Wszystko na nic. Znowu obowiązują znane prawa bezwładności. Ciągle jest myszką. Musi się z tym pogodzić. Jedynie jakaś siła z zewnątrz może wyrwać ją z inercji. Czy taką zewnętrzną siłą jest... małżeństwo?

Gussy o mało nie spadła z krzesła. Co za głupia myśl! Przecież to właśnie Babka marzyła wyłącznie o tym, żeby wydać ją za mąż.

A może myśl nie była wcale taka głupia? To byłoby całkiem sprytne posunięcie. Zrobiłaby dokładnie to, czego od niej oczekują i równocześnie uzyskałaby wolność.

Marian Throckmorton oraz wszystkie damy z Sheepshead

Bay uznawały małżeństwo za stan uświęcony. Mężatki automatycznie zyskiwały ich szacunek. Jedynie jakieś straszne przestępstwa mogłyby ten szacunek zniszczyć. Albo i nie. Taka Catherine Chalk na przykład. Została wybrana królową balu dobroczynnego zorganizowanego przez Koło Charytatywne przy Kościele Episkopalnym, mimo że podejrzewano ją o sprzeniewierzenie funduszy tegoż Koła. Albo Vanessa Van Pelt Była nieustającą przewodniczącą Ligi Pań, chociaż wszyscy wiedzieli o jej ognistym temperamencie i romansach z każdym ogrodnikiem, którego zatrudniała w swoim ogrodzie.

Prawdę mówiąc, małżeństwo usprawiedliwiało wszystkie ekscesy.

Historia April dowodziła, że Gussy się nie myli.

April bowiem, w przeciwieństwie do Gussy, nie brakowało odwagi. Pierwszy krok ku wolności zrobiła, zapisując się na Uniwersytet Kalifornijski zamiast do Vassar, gdzie studiowały wszystkie kobiety z rodziny Throckmortonów. Po czterech latach swobody, nie pytając dziadków o pozwolenie, przyjęła oświadczyny jednego ze starających się o nią kolegów i wróciła triumfalnie do Maine - z dyplomem i narzeczonym.

Ponieważ narzeczony był niemal tak bogaty i ustosunkowany jak Throckmortonowie, dziadek wymamrotał zgodę na małżeństwo. Potem odbył się uroczysty ślub i April wyjechała w chwale, żeby z dala od domu wieść życie na zasadach, które sama ustalała.

W tym czasie Gussy, studentka Vassar oczywiście, była trzymana przez dziadków silną ręką i nawet nie mogła pisnąć. Taka sytuacja trwała niezmiennie do tej pory.

Ale ani dnia dłużej, pomyślała. Skoro dzięki małżeństwu najłatwiej jest wyplątać się z sieci, wyjdzie za mąż. Niespodziewane pojawienie się tajemniczego pana Kelleya było zatem szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Augustyno - parsknęła w końcu zirytowana Babka - Bądz tak uprzejma i skończ zdanie. Jesteś dzisiaj bardzo roztargniona.

Gussy ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć kolejnego "praszam" i zmusiła się, żeby spojrzeć Babce prosto w oczy. Babka wytrzymała spojrzenie. Wyprostowana jak świeca wytarła usta w serwetkę i czubkami palców poprawiła nienaganną jak zawsze fryzurę. Milczenie przedłużało się.

Gussy napięła się cała. Zmobilizowała wszystkie siły, żeby nie opuścić głowy.

I wtedy stało się!

Babka zamrugała powiekami i odwróciła głowę. Potem nieświadomie zaczęła bawić się serwetką.

Gussy była w siódmym niebie. Może powód był głupi, a jednak po raz pierwszy w życiu nie poddała się.

Babciu - odezwała się pewnym głosem, co było tym łatwiejsze, że zamierzała powiedzieć coś, co będzie po myśli Marian. - Doszłam do wniosku, że babcia ma rację. Najwyższy czas, żebym wybrała dla siebie męża. I zamierzam zająć się tym od zaraz.

Odsunęła z piskiem krzesło i wstała. Nie miała wątpliwości: **Babka** uzna, że wybrańcem jej wnuczki jest ten kochany, stary **Andrews.** Co najmniej przez kilka dni nie zorientuje się, jakie są prawdziwe zamiary Gussy.

Nie pomyliła się. Babka z satysfakcją pokiwała głową.

- Byłam pewna, że docenisz moje rady, Augustyno.

Gussy poczuła się lekka i szczęśliwa. Pochyliła się i ucałowała starszą panią w policzek.

- Jesteś taka mądra, babciu - zawołała i odwróciła się tak szybko, że jej kloszowa spódnica rozłożyła się jak pawi ogon.

Marian Throckmorton odprowadzała ją rozpromienionym wzrokiem aż do chwili, kiedy Gussy zdarła z ramion sweter

i odsłoniła swoje gołe plecy. Już chciała wezwać wnuczkę z powrotem, ale zrezygnowała.

Niech tym razem Lowell zobaczy nieskromne wydanie Augustyny. Kto wie, może jej wygląd zainspiruje go do oświadczyn? Z zadowolonym uśmiechem sięgnęła po kawę. Nie miała nic przeciw temu, żeby zostać prababką. Bardzo podobał się jej pomysł, że wszyscy będą musieli uznać ją za prawdziwie szacowną matronę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Myszka i mężczyźni

Kiedy Gussy stanęła przed szklanymi drzwiami oranżerii, nie myślała wcale o tym, jaką przyjemność sprawiłyby Babce prawnuki. Myślała wyłącznie o mężczyznach.

Taki Andrews na przykład. Znała go niemal od urodzenia, a mówiąc dokładnie od dnia, w którym oboje zostali ochrzczeni. chodzili razem do podstawówki. Kiedy rodzice zdecydowali się wysłać April i Gussy do szkoły z internatem w malowniczej części Anglii, a Andrews został zapisany do Groton, renomowanej placówki naukowej dla chłopców z dobrych domów, widywali się rzadziej, ale i tak dostatecznie często.

Podczas długich wakacji w Sheepshead Bay spędzali wspólnie tyle czasu, że Gussy mogła żywić do niego uczucia co najwyżej siostrzane. Wprawdzie Andrews był pierwszym chłopakiem, z którym się całowała, ale to nie miało większego znaczenia. Podobnie jak to, że był pierwszym chłopakiem, z którym...

- Ale - szepnęła Gussy do siebie - nie jest to najlepszy moment na przywoływanie tego rodzaju wspomnień. - Zaraz potem zakaszlała i chyłkiem sprawdziła, czy w pobliżu nie ma podsłuchującego Thwaite'a.

Drzwi oranżerii otworzyły się z hukiem i stanął w nich Andrews.

- Gussy! Nareszcie. Czekamy tutaj, aż raczysz się znowu pojawić.

Kilka kroków za nim stał Billy Tuttle z rękami w kieszeniach nieprzemakalnej wiatrówki. Billy pracował w dziale marketingu w rodzinnej firmie, ale Gussy nigdy nie była pewna, czy miał tę posadę, czy już z niej rezygnował. Zdążyła się zorientować, że porzucał pracę w lecie po to, żeby nudne zajęcia nie kolidowały z najlepszymi miesiącami sezonu żeglarskiego.

Poza tym uważał się za kobieciarza i tak bardzo chciał przekonać o tym innych, że nieustannie pojawiał się w Sheepshead Bay w towarzystwie długonogich modelek, które przywoził z Nowego Jorku. Prawdopodobnie nigdy nie zainteresowałby się kimś takim jak Gussy, gdyby nie fakt, że jego rodzona babka zagroziła, że przestanie płacić rachunki wnuka w barze klubu jachtowego, o ile ten nie zacznie spotykać się z jakąś porządną dziewczyną. Na przykład z córką Fairchildów.

Billy nie krył zniecierpliwienia.

- Tracimy najlepszy wiatr, Gussy. Idziesz ze mną na przystań czy nie?

- Zarezerwowałem kort. - Andrews wskazał ręką swój tenisowy strój. - Potem moglibyśmy zjeść lunch w klubie.

- W tenisa można grać zawsze - przerwał mu Billy. - Dzisiaj jest wymarzona pogoda na żagle.

- Uhm - mruknęła Gussy nieuważnie i rozejrzała się po oranżerii zalanej oślepiającym blaskiem porannego słońca.

Wśród bujnej zieleni stały białe wiklinowe meble zarzucone wygodnymi poduszkami, ale tajemniczy gość nie siedział na żadnym z foteli. Widocznie znudziło go czekanie i poszedł sobie. Żeby ukryć rozczarowanie, weszła do środka i zaczęła zaciągać rolety. I wtedy go zobaczyła. A właściwie jego nogi. Długie i zgrabne, w niebieskich dżinsach wytartych na kola-

nach. Ale najdziwniejsze były jego buty: ciężkie robocze buciory z brązowej skóry. Ciekawe...

- Witam - powiedziała, a raczej chciała powiedzieć, bo w rzeczywistości wydała z siebie cienki pisk.

Pisk zastraszonej myszy, pomyślała, wściekła na siebie. Przecież dzisiaj miała zacząć nowe życie! Zebrała się na odwagę. Z podniesionym czołem podeszła do fotela i wyciągniętą ręką.

Dzień dobry. Przykro mi, że pan czekał. Chyba się nie znamy, panie...?

Trzeci z dżentelmenów, którzy przybyli złożyć jej wizytę, skoczył na równe nogi.

- Kelley - przedstawił się. - Jed Kelley.

Gussy spojrzała mu w twarz i poczuła, że uginają się pod nią nogi. Dobrze, że miała na sobie płaskie tenisówki. W butach na obcasach nie utrzymałaby równowagi.

Zobaczyła właśnie mężczyznę swoich marzeń - tych najbardziej sekretnych.

Był przystojny, ale jednocześnie doświadczony przez życie. Na taki widok serce każdej wrażliwej dziewczyny mięknie jak wosk. A Gussy była wrażliwą dziewczyną.

Młody człowiek miał kwadratową, mocno zarysowaną szczękę. Nos wydawał się złamany co najmniej ze dwa razy. Brązowe włosy ostrzyżone na rekruta podkreślały kształt jego zgrabnej czaszki i wysokie czoło. Na lewej skroni widniała półokrągła blizna, która ginęła gdzieś pod linią brwi jak cienka biała nitka. Jego rzęsy były dłuższe od włosów. A oczy? Gussy była pewna, że zrobiły na niej największe wrażenia. Nigdy Jeazcze nie widziała tak intensywnie niebieskich tęczówek!

- Ale pani nie jest osobą, na którą czekam - dodał młodzieniec ponurym tonem.

Gussy, która nie przywykła do podobnego traktowania, poczuła, że uchodzi z niej cała pewność siebie. Nie spodobała mu

się! Rozczarował się do niej w tak krótkim czasie, że chyba pobił wszelkie rekordy z Księgi Guinnessa.

- A jednak myślę, że czeka pan na mnie. - Odchrząknęła, żeby nie usłyszał, jak drży jej głos. - Jestem Augustyna Throckmorton Fairchild.

To właśnie nazwisko mu podano.

- Skoro tak... - Wyprostował się i lekko zasalutował. - Jestem gotowy do podjęcia swoich zadań, tak, jak mi to zlecono.

Gussy zwilżyła językiem wargi. To wprost nie do wiary, żeby któraś ze znajomych Babki uznała, że Jed Kelley nadaje się na ewentualnego kandydata do jej ręki! Chyba że był to jakiś bratanek nie widziany od czasów, kiedy chodził w krótkich spodenkach.

Tylko dlaczego powiedział, że jest gotowy do podjęcia zadań? To nie było miłe. Być może w oczach pań z Sheepshead Bay uchodziła za starą pannę, ale nie widziała powodu, żeby mówiono o niej jako o „zadaniu". Uniosła brwi i wypróbowała na Kelleyu spojrzenie Babki, jakim ta obdarzała pokojówkę, która upuściła na podłogę łyżkę do zupy.

- Czy mogę zapytać... hm… z czyjego polecenia pojawił się pan tutaj?

- Jak to? To pani nie wie? - Jed zmrużył oczy. - Vanessy Van Pelt, między innymi.

Vanessy Van Pelt? Gussy nie wierzyła własnym uszom. Vanessa Van Pelt za żadne skarby nie wypuściłaby z rąk mężczyzny o wyglądzie Jeda Kelleya! Trzymałaby go dla siebie i nie oddała nikomu. No, chyba że był to bliski krewny...

- Oraz pani Throckmorton. Myślę, że mogę tak powiedzieć - dodał Jed.

Gussy nie mogła powstrzymać okrzyku zdumienia.

- Pan... pan... zna Babkę? - wyjąkała.

- W zeszłym tygodniu odbyliśmy rozmowę.

- To jakiś żart. - Gussy nie próbowała nawet ukryć niedowierzania.

- Przypominam sobie teraz, że mówiła coś o tym, że pani od razu mnie przejmie.

Gussy zdębiała. Zrobiła krok w tył, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Kiedy wyczuła za sobą fotel, usiadła ciężko. Miała nadzieję, że skrzypienie wiklinowych biegunów zagłuszy jej jęk.

W tej samej chwili, jak za pociągnięciem sznurka, usiedli wszyscy trzej mężczyźni - każdy tam, gdzie stał. Zapadła cisza, przerywana jedynie dźwiękiem wydawanym przez bujający się coraz wolniej fotel. Odgłos w sam raz dla myszy, pomyślała Gussy ponuro.

Coś tu się nie zgadzało. Ani Vanessa Van Pelt, ani Babka nie podarowałyby jej kogoś takiego jak Jed. Za żadne skarby! A tu proszę - Gussy dostaje go na srebrnej tacy. I to jest cudowne, bo pragnie go jak nikogo innego. I, do diabła, nie ma zamiaru tego ukrywać. Przynajmniej przed sobą, co i tak było szokujące.

Tymczasem Jed obserwował ją ze wzniesionymi pytająco brwiami zauważyła od razu, że ma pięknie zarysowane brwi) i czekał, aż coś powie. Podobnie zresztą jak Andrews i Billy. Kątem oka widziała spokojną minę Andrewsa i rosnące zniecierpliwienie Billy'ego.

- Przepraszam - Gussy odzyskała w końcu głos - ale nie mogę wyjść dzisiaj z żadnym z was. Dziękuję, że przyszliście. Andrews, Billy… - Wstała, skłaniając lekko głowę w ich stronę.

- Może jutro? - zapytał Andrews, zezując w kierunku Jeda.

Billy bez pardonu odsunął go na bok.

- Klub jachtowy organizuje tańce w przyszłym...

- Nie wiem… - Gussy nie dała mu skończyć. - Jeszcze nie mogę niczego... W porządku. Zadzwońcie do mnie - dodała szybko po to tylko, żeby pozbyć się ich jak najprędzej.

Dlaczego właśnie dzisiaj obaj zachowują się jak oddani wielbiciele?! Nie mogli wybrać gorszej chwili! Poprowadziła ich do drzwi, za którymi, jak należało się tego spodziewać, kręcił się Thwaite.

- Thwaite, panowie wychodzą. - Gussy niemal wypchnęła Andrewsa z oranżerii. - Proszę odprowadzić ich do wyjścia.

- Do zobaczenia niedługo - usłyszała jeszcze.

- Jasne - odpowiedziała i zamknęła drzwi.

Dłuższą chwilę stała z nosem przyklejonym do zimnej szyby i nie zdejmowała rąk z mosiężnej klamki. Wydawało się jej, że Jed wywierca jej dziury w plecach swoimi niesamowicie niebieskimi oczami. Na całym ciele miała gęsią skórkę.

Pamiętaj! powiedziała sobie w duchu. Już nie jesteś tchórzliwą myszką.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do Jeda.

- Widzę, że przyszedłem nie w porę.

- Wręcz przeciwnie. - Podchodząc do niego, Gussy uśmiechnęła się zalotnie. - Wybrał pan świetny moment.

Po drodze zachwiała się lekko. Być może będzie miała odrobinę szczęścia i Jed uzna, że po prostu kusząco zakręciła biodrami.

- A pani wielbiciele?

Machnęła ręką.

- Ach! To bez znaczenia. Było ich tylko dwóch, a nie dwunastu.

Teraz, kiedy została wystawiona na aukcję wśród elitarnych kręgów Sheepshead Bay, można było uznać, że nie kłamie.

- Aha. Więc to tak... - W oczach zamigotał mu dziwny błysk.

- Dokładnie tak - grała dalej.

- Musi pani być osobą bardzo popularną w towarzystwie.

- Chyba nie boi się pan konkurencji? - Przysunęła się tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała.

Jed był silny i wysportowany, ale inaczej niż Billy czy Andrews. Miał długie, muskularne nogi i mocno umięśnione ręce. Jeśli robocze buty nie były pozą, jego siła brała się z fizycznej pracy. Było to bardzo intrygujące.

- Konkurencja?! - wymamrotał Jed, całkowicie zaskoczony. - Zaraz, zaraz. Byłem pewien, że przyrzeczono mi to zajęcie.

- Chyba nie sądził pan, że moja Babka będzie miała ostateczny głos w takiej sprawie. - Uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Ja też mam tu coś do powiedzenia...

- Ale pani Throckmorton...

- .. .i mówię, że okres próbny jest nieodzowny.

Gussy tak się rozpędziła, że przestała logicznie myśleć. Jeśli Jedowi udało się jakimś cudem przejść drobiazgową inspekcję Babki, nic nie mogło stanąć im na przeszkodzie. Wezmą ślub jeszcze tego lata i wtedy ona będzie wolna! Nie dość na tym. Będzie miała męża, którego uda się jej pokochać bez większych trudności.

- Pani Throckmorton nie mówiła nic o okresie próbnym.

- To zrozumiałe. - Gussy zacisnęła zęby, żeby dodać sobie odwagi, i wzięła go za rękę.

Nie do wiary! Zrobiła to! Ona, Gussy, wieczna gapa, stoi tu, trzymając za rękę Jeda Kelleya.

- Widzę, że nie mam wyjścia i muszę się zgodzić - powiedział, patrząc dziwnym wzrokiem na ich splecione dłonie. - W końcu nie zna mnie pani i nie wie, co naprawdę potrafię.

Gussy przeszła przez głowę myśl, że to raczej dziwne określenie, ale zajęta obserwowaniem jego dłoni, nie zastanawiała się nad tym dłużej.

Czuła dotyk jego skóry i krew pulsowała jej w żyłach. Miał twarde opuszki palców, tak jak się spodziewała, i nikłe ślady brudu pod paznokciami. Od grzebania w piwoniach, przypo-

mniała sobie. Jego ręka była dwa razy większa niż jej, chociaż może to tylko złudzenie. W końcu nigdy jeszcze nie dotykała mężczyzny, który istniał dotąd jedynie w najgłębiej skrywanych fantazjach.

Własne słowa docierały do niej jak przez mgłę.

- Poznamy się lepiej, a potem, jeśli się uda.

Uda się. Instynkt podpowiadał jej, że tak będzie.

— ... sfinalizujemy... kontrakt.

O rany! Powiedziała to. Gdyby kiedykolwiek przyszło jej do głowy, że tak może wyglądać kontraktowe małżeństwo, od początku wspierałaby plan Babki.

- Czy pani wróży z dłoni? - zapytał Jed głosem szorstkim jak papier ścierny.

- Co? - Nie zrozumiała, o co mu chodzi. - Nie.

- Czy mogę więc dostać z powrotem swoją rękę?

Puściła ją natychmiast.

- Przepraszam. - Skuliła się ze wstydu. - Byłam chyba zbyt nachalna.

- Nie ma sprawy. O ile oczywiście pani mnie angażuje.

- Angażuje? Jak można tak mówić!

Jed wyprostował się i zaplótł ręce na piersiach.

- A więc znowu wracamy do okresu próbnego, tak?

- Tak. - Gussy zesztywniała.

Tu naprawdę coś się nie zgadzało. Jed zachowywał się tak, jakby starał się o pracę. Jeszcze raz zerknęła na jego buty. Najwyraźniej był biedniejszy od reszty jej admiratorów, ale chyba nie chciał, żeby mu zapłacić za to, że się z nią ożeni!

A jeśli był zwykłym łowcą posagów? Albo - nie daj Boże - żigolakiem?

- Może porozmawiamy o tym później - zaproponował. - Kiedy już się wprowadzę. Chciałbym przenieść resztę moich rzeczy do wozowni.

- Pan się tutaj wprowadza? - pisnęła Gussy cieniutko jak myszka. Znowu myszka!

- Tak. - Machnął ręką w stronę północnego końca ogrodu. - Szukałem jakiegoś mieszkania. Ponieważ dawna wozównia stoi pusta, pani Throckmorton powiedziała, że mogę ją zająć. Dzięki temu będę zawsze pod ręką. - Wzruszył lekko ramionami.

Gussy nie była pewna, czy dobrze usłyszała. To się nie mieściło w głowie. Czyżby Babka tak bardzo popierała Jeda Kelleya, że pozwoliła mu wprowadzić się do ich wozowni?

Niemożliwe.

- Czy pani to przeszkadza, panno Fairchild? - zapytał Jed.

- Nnnie, skądże.

Co innego mogła powiedzieć? Najwyraźniej wszystko zostało zaaranżowane bez jej wiedzy i zgody.

- To dobrze. Zobaczymy się później. - Pomachał jej ręką na pożegnanie i wyszedł.

Gussy podeszła do okna i odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął za węgłem. Drżała jak ofiara ataku malarii w środku mroźnej zimy. Czuła uderzenia gorąca na przemian z falami zimnych dreszczy. To nie może dziać się naprawdę!

Mężczyźni rodem z marzeń nie trafiają się myszom.

Dziesięć minut później Gussy opanowała się na tyle, żeby porozmawiać z Babką. O tej porze dnia zawsze można było znaleźć ją w bibliotece. Siedząc przy biurku, załatwiała całą papierkową robotę związaną z prowadzeniem wielkiego domu, wypisywała dziesiątki zaproszeń na mniej lub bardziej uroczyste obiady albo wysyłała grzecznościowe liściki z podziękowaniami.

- Babciu!

Marian Throckmorton uniosła ostrzegawczo palec, prosząc

w ten sposób o ciszę. Potem spokojnie wytarta bibułą nadmiar atramentu na wiecznym piórze, odłożyła je, wydarła z książeczki wypełniony przed chwilą czek i wsunęła go do przygotowanej uprzednio koperty. Małą gąbką zwilżyła klej na kopercie, przykleiła znaczek i dopiero wtedy spojrzała na wnuczkę przez zsunięte z nosa półokrągłe okulary.

- O co chodzi, Augustyno?

Gussy opadła na starą kanapę pokrytą spękaną skórą. Co za pech, że właśnie od dzisiaj postanowiła zmienić swoje życie. Gdyby nie to, mogłaby zwinąć się w kłębek i poddać się ogarniającemu ją poczuciu niepewności.

- O Jeda Kelleya - wychrypiała.

- Aaa, spotkaliście się zatem?

A jednak to była prawda. Gussy nie wiedziała, co zrobić: zemdleć czy skakać z radości.

- Miałam powiedzieć ci o panu Kelleyu podczas śniadania - ciągnęła Babka - ale tak się śpieszyłaś, że nie dałaś mi szansy.

Otóż to. Cała Marian Throckmorton. Teraz, kiedy Gussy była dorosła i nie wypadało karać jej za różne przewinienia, Babka zawsze umiała wyrazić swoje niezadowolenie, wygłaszając pozornie błahe uwagi, którymi trafiała ją w najbardziej czułe miejsca. Tym razem jednak Gussy **zdobyła** się na odwagę i powiedziała:

- To chyba zbyt ważna sprawa, żeby ją przeoczyć.

Babka zsunęła okulary na **czubek** nosa i przeszyła ją ironicznym spojrzeniem.

- O mój Boże! Mam jednak nadzieję, że nie sprawiłam ci szczególnie wielkiego kłopotu.

Normalnie pod wpływem takiego spojrzenia Gussy w jednej chwili traciła całą pewność siebie. Dzisiaj jednak miała na głowie inne kłopoty. Zaplotła ręce na kolanach i mocno oparta się plecami o poduszki kanapy.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o nim, babciu. Nie rozumiem, jak…

- Przyznaję, że decyzję podjęłam dość niespodziewanie. - Babka zaczęła przeglądać bieżącą korespondencję. - W takich wypadkach zdaję się na intuicję, a pan Kelley od początku wydał mi się odpowiedni.

Wydał się odpowiedni? miała ochotę zawyć Gussy. Odpowiedni, żeby poślubić twoją wnuczkę, której nie da się inaczej wydać za mąż? A potem uciec z całą jej fortuną? Ciekawe, kiedy Andrews, dotąd pierwszy w rankingu Babki kandydat do ręki Gussy, wypadł z łask? Zwłaszcza że jeszcze podczas śniadania wydawało się, że jego pozycja jest niewzruszona.

- A co z Andrewsem? - zapytała.

Babka czytała właśnie liścik od swojej córki, a matki Gussy, która donosiła, że do sierpnia zamierza z mężem spędzić jakiś czas w swojej willi w Prowansji, a potem uciec przed upałami do Maine. Wydawała się lekko zniecierpliwiona, że ktoś przerywa jej lekturę.

- A co to ma z nim wspólnego? Lowellowie mają świetnego człowieka i nie potrzebują nikogo. Pan Kelley został mi polecony. Poza tym ma świetne referencje i wydaje się znać na rzeczy. Mam tu gdzieś jego dane.

- Co? - Gussy z trudem wydobyła głos z gardła.

- Augustyno, oszczędź mi podobnych dźwięków. Przecież wiesz, jak wrażliwe mam uszy.

Gussy zbladła jak ściana i zapomniała o zwyczajowym "przepraszam, babciu".

- O, jest! - Marian znalazła plik kartek spiętych spinaczem i nie zwracając uwagi na zachowanie swojej wnuczki, dodała pewnym tonem: - Jed Kelley na pewno sprawdzi się jako nasz nowy ogrodnik.

Sapiąc i stękając, Jed zdjął przedostatnie pudło ze swojej nowiutkiej, czerwonej jak wóz strażacki furgonetki. Zegnij nogi i nie obciążaj kręgosłupa, przestrzegał samego siebie, ciągnąc za sobą paczkę. To muszą być książki, uznał. Książki są najcięższe. Przepchnął się jakoś przez drzwi wejściowe wozowni - i skierował do małego salonu, w którym, we wnękach po obu stronach kominka, znajdowały się półki.

Nie prostując się, przystanął, żeby rozetrzeć bolące kolano. Opieranie ciężarów na nogach jest dobre dla zdrowych. Kiedy robi to eks-hokeista z uszkodzoną łękotką, nie czeka go nic miłego. Może być pewien nowej recepty na kolejną butelkę śmierdzącego mazidła.

- Auu! -jęknął, prostując się powoli.

Niech będzie mazidło. Może nie pachnie zbyt ładnie, ale dobrze mu robi. Zupełnie odwrotnie niż jego była dziewczyna, która wprawdzie pachniała przepięknie, ale... Wolał nie kończyć.

Wyszedł na trawnik przed wozownią, żeby rozejrzeć się po terenie, którym będzie się zajmować. Ogrody w typie francuskim były tak rozległe, że będzie musiał zatrudnić kogoś do pomocy. W przeciwnym razie nie zdoła zaprojektować żadnego ogrodu dla innych klientów.

Miał nadzieję, że ta frywolna panienka, nazywana przedziwnym zdrobnieniem Gussy, nie będzie zbyt często wtrącać się do jego zajęć. On przezwał ją od razu kochliwą dziedziczką. Liczył, że dziewczyna będzie spędzać większość czasu na randkach. Ci dwaj lalusie przebrani w sportowe stroje powinni to załatwić,

Tydzień temu stara pani Throckmorton wspomniała, że jej wnuczka skończyła botanikę w Vassar, a teraz będzie nadzorować jego pracę. Już wtedy podejrzewał, że autorytet panny Fairchild jest, oględnie mówiąc, pozorny. W końcu to nie ona z nim rozmawiała, tylko jej Babka. Najprawdopodobniej to jed-

na z tych przygłupich dyletantek, które po skończeniu studiów czekają na męża, przez ten czas zajmując się ogrodem, robótkami ręcznymi i od czasu do czasu działalnością dobroczynną.

Spotkanie z Gussy potwierdziło tylko jego przypuszczenia. To prawda, była ładna - temu nie dało się zaprzeczyć. Ale ten typ panienek zwykle bywał urodziwy. Na szczęście w niczym nie przypominała afektowanych piękności, które często pojawiają się w kolorowych magazynach. Nie była też typem wiejskiej dziedziczki biegającej wszędzie w drelichowych spodniach i gumowcach, zawsze ze sforą psów kręcących się u jej stóp.

Zresztą nieważne, jaki typ kobiet przypominała. Jedno było pewne - osóbce o imieniu Gussy brak było piątej klepki. Gruchała do niego jak zakochana turkawka, kręciła biodrami i bawiła się jego dłonią w dość niekonwencjonalny jak na pracodawczynię sposób. Nie była tak krzykliwa jak Vanessa Van Pelt, ale i tak całkiem otwarcie demonstrowała swoje zainteresowanie ogrodnikiem, którego po raz pierwszy w życiu oglądała na oczy.

Jed nie widział powodu, żeby dać się wykorzystywać zepsutym dziedziczkom, nawet jeśli ich usta były różowe, miękkie i obiecywały nie wiem jaką rozkosz.

Ustaliwszy z samym sobą zasady gry, odetchnął z ulgą. Teraz będzie mógł stawić czoło zepsutej do cna pannie Augustynie Fairchild.

Postanowił rozejrzeć się po wozowni. Jego mieszkanie zajmowało górną część budynku. Parter przerobiono na garaż. Stały w nim dwa rolls-royce'y -jeden staroświecki, srebrzystoszary, drugi - nowszy i praktyczniejszy, dwudrzwiowy, w kolorze granatowym.

Śliski jak wąż lokaj poinformował go już wcześniej, że Throckmortonowie od kilku lat nie zatrudniają szofera. Jed miał

nadzieję, że nie będzie nikogo wozić. Nie zamierzał być na każde skinienie wszystkich członków rodziny. Brakowało mu na to czasu. Żeby osiągnąć coś w swoim nowym zawodzie, musiał poważnie zająć się projektowaniem.

Z tego powodu nie był zadowolony, że zamieszkał na ich terenie. Od razu zauważył, że pani Throckmorton nie była typem, który żąda usług. Ona uważała, że usługi jej się po prostu należą. Gussy z kolei... Nie, teraz już nie wiedział, jakim typem jest Gussy. Była oczywiście straszną flirciarą, ale kiedy pojawiła się pierwszy raz w oranżerii, przypominała bardziej małą, nieśmiałą myszkę.

Dosyć tego. Poświęca tej dziewczynie stanowczo zbyt wiele uwagi.

Postawił ostatnie pudło na stole w kuchni, wyjął z lodówki butelkę piwa i ruszył na obchód swojego nowego mieszkania. Cztery niewielkie pokoje o śmiesznie niskich sufitach, zastawione dość zniszczonymi, ale pięknymi antykami, pachniały lekko stęchlizną. Najwyraźniej od lat nikt tu nie mieszkał. Ściany oklejone były wiktoriańską tapetą, mocno spłowiała, ale wciąż zachowującą ślady dawnej urody. Przez mansardowe okna przewieszały się pnącza bluszczu, który oplatał gęstą zielenią cały dom.

To pełne niespodziewanych zakamarków mieszkanie miało swój charakter, w przeciwieństwie do przestronnego, ale całkowicie bezosobowego studia, które wciąż jeszcze miał w Hartford.

Otworzył okno i wpuścił do środka świeże, pachnące morzem powietrze. Jego wzrok padł na alejki obsadzone rzędami bukszpanów. Samo tylko przycinanie takiej masy krzewów wymaga wiele czasu. To tylko potwierdza jego wcześniejsze przypuszczenia, że będzie musiał na własny koszt zatrudnić kogoś na pół etatu.

Odkładając decyzję na później, poszedł się umyć. Był w łazience, kiedy na podeście schodów rozległ się kobiecy głos:

- Czy jest tam ktoś? Panie Kelley!

Jed wytarł twarz i pierś. Z ręcznikiem na szyi wszedł do salonu. W drzwiach, z jedną nogą na korytarzu, a drugą wewnątrz, stała kochliwa dziedziczka we własnej osobie. Widząc go, zesztywniała i natychmiast wycofała się za drzwi.

- Jed - powiedział. - Proszę mówić do mnie Jed.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok okrągłych jak spodki oczu, którymi wpatrywała się w jego nagi tors.

- A pani ma na imię Augustyna, prawda?

- Uhm - kiwnęła głową.

- Wejdź, proszę.

Nie ruszyła się nawet o krok. Wydawało się, że ma ochotę uciec. Gdzie podziała się uwodzicielka, którą spotkał zaledwie kilka godzin temu?

- Wolę, kiedy mówi się na mnie Gussy.

- Dziwne zdrobnienie.

- Moi rodzice - zwilżyła językiem usta - nadali obu córkom imiona związane z miesiącem, w którym się urodziły. Ponieważ nie jestem typem Tiny, a Augie brzmi sto razy gorzej niż Gussy... - Wzruszyła ramionami.

Potem znowu wbiła w niego okrągłe spojrzenie i wyjąkała z trudem:

- Czy to jest tatuaż?

- Coś w tym rodzaju. - Śmiał się teraz całkiem otwarcie.

Tatuaż był obrzydliwy. Przedstawiał dzikiego czarnego niedźwiedzia.

- To pozostałość po jakimś studenckim ekscesie. Rezultat głupkowatej decyzji podjętej w pijanym widzie.

Gussy nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w tatuaż, jakby nigdy przedtem nie widziała niczego podobnego. Może na-

prawdę nie widziała? Ci jej absztyfikanci nie wyglądali na takich, którzy daliby sobie coś wytatuować. No, chyba że upodobania studentów Harvardu zmieniły się od czasów, kiedy jego drużyna dała popalić na lodowisku ich drużynie.

- Grałem w hokeja w zespole Uniwersytetu Maine - wyjaśnił. - W Czarnych Niedźwiedziach.

Postęp! Gussy zamrugała powiekami.

Nie chodzi o to, że zdziwiła go jej reakcja. Przez ostatnich sześć lat grał zawodowo w hokeja i przywykł do powłóczystych spojrzeń różnych panienek: młodych kibicek z błyszczącymi oczami albo doświadczonych tlenionych blondynek, które jeździły za nimi na wszystkie obozy treningowe w jakże słusznej nadziei poderwania przystojnego sportowca. Był jeszcze trzeci typ, w opinii Jeda najniebezpieczniejszy: śliczne istotki ze słodkimi buziami, które zaręczały się z facetem, kiedy był u szczytu sławy po to, żeby porzucić go bezlitośnie, jeśli tylko powinęła się mu noga. Nakładały maski szczerej miłości, żeby ukryć swoje pazerne duszyczki.

Oczywiście, dziewczyny ze środowiska Gussy nie należały do żadnej z tych grup. Im nie imponowały ani pieniądze, ani luksusowe samochody. Jed podejrzewał, że ona i jej znajomi w ogóle nie uznawali zaszczytów i sławy, jaką cieszyły się gwiazdy sportu.

A Gussy wciąż stała i wpatrywała się w niego.

Co jest? Czyżby chciała dać mu do zrozumienia, jak niestosowne jest pokazywanie się pani dziedziczce - nawet jeśli było to tylko młodsze jej wydanie - z gołą piersią?

Nie bardzo w to wierzył. Było chyba odwrotnie. Tę dziewczynę musiała zafascynować jego męska uroda!

Stali więc naprzeciw siebie i prawdopodobnie staliby jeszcze dłużej, gdy nagle do pokoju wpadł wielki pies. Szczeknął na Jeda i widząc, że ten uśmiechnął się w odpowiedzi, zamerdał

zamaszyście ogonem, oparł przednie łapy na jego ramionach i energicznie polizał go po twarzy.

- Percy, leżeć!

Jed, śmiejąc się, próbował odepchnąć psa, który z entuzjazmem wylizywał mu teraz szyję. Gussy chwyciła psa za obrożę i odciągnęła go na bok.

- Przepraszam. Czasami Percy okazuje swoje uczucia z taką wylewnością, że nie reaguje na moje komendy.

- Chyba mnie lubi. - Jed spojrzał na złotego retrievera, który siedział u stóp Gussy i zamiatał ogonem podłogę.

Gussy klęknęła obok psa i wygładziła mu sierść pod obrożą. Potem powiedziała mu coś do ucha. Kosmyk długich, ciemnoblond włosów opadł jej na policzek i w blasku słońca przybrał barwę stopionego złota albo gęstego miodu - Jed nie mógł się zdecydować. W każdym razie miała włosy o ton ciemniejsze niż jej pies.

Kiedy się wyprostowała, przyjrzał się jej oczom, brązowym i aksamitnym jak u Percy'ego. Malował się w nich dziwny wyraz ni to oczekiwania, ni to pragnienia. Też jak u Percy'ego.

O ile w przypadku psa było to zrozumiałe - marzył o tym, Żeby się wyrwać i rzucić z językiem na Jeda, to w przypadku Gussy... Nie wiedział.

Może chciała tego samego? Taka myśl sprawiła mu wyraźną przyjemność.

O rany! Przestań już, mruknął wściekły na siebie. Tylko nie to. Nie był gotowy na nowy związek z kobietą, zwłaszcza na romans wzorowany na „Kochanku lady Chatterley" D.H. Lawrence'a.

- Percy lubi wszystkich. Ma bardzo przyjazną naturę - wyjaśniła Gussy.

Tak jak jego pani, pomyślał Jed, przypominając sobie jej wielbicieli.

- A zatem nie zaatakuje mnie znienacka w krzakach azalii?

- Jeśli to zrobi - uśmiechnęła się przepraszająco - to na pewno nie w złych zamiarach. Nie mogę obiecać, że będzie grzeczny.

Znowu spojrzała na jego tors, ale szybko uciekła wzrokiem w bok.

- Czy jesteś zadowolony z mieszkania? Gdybym wiedziała, że się pojawisz, kazałabym je jakoś przygotować. No wiesz - wstawić kwiaty, napełnić lodówkę...

- Wszystko w porządku. - Uderzyło go to, co właśnie powiedziała. - Nie wiedziałaś, że przyjeżdżam?

Skoro tak, za kogo wzięła go rano w oranżerii? Komu robiła takie awanse?

- Zaszło małe nieporozumienie między mną a Babką - wyjaśniła, wyraźnie zażenowana. - Przepraszam, jeśli moje zachowanie... To znaczy moje wcześniejsze zachowanie... To, że trzymałam twoją rę... - przerwała i przygryzła wargę. - Próbuję właśnie powiedzieć, że dostałeś tę posadę. Oficjalnie.

- Żadnego okresu próbnego?

Potrząsnęła tylko głową. Miał ochotę ją pocałować. Ciekawe, jak by na to zareagowała, szczególnie po swoim porannym występie? Powstrzymał się, bo w tym momencie nie mógł zaryzykować utraty pracy. Chodziło zresztą nie tyle o pieniądze, ile o jego reputację. Nie interesowało go stanowisko ogiera, nawet gdyby proponowały mu to wszystkie Vanessy Van Pelt świata.

- Mam nadzieję, że ci się tu spodoba. - Gussy zbliżyła się do drzwi.

Jed poczuł, że bardzo chce, żeby jeszcze została.

- Może czegoś się napijesz? - Wziął do ręki butelkę i szybko dodał: - Chociaż nie wydaje mi się, żebyś pijała piwo.

- Masz wodę?

- Mam. Rozgość się, proszę.

Ruszył do kuchni. Po drodze zrzucił z kanapy torbę z rzeczarni i telefon, żeby miała gdzie usiąść. Kiedy wrócił, wciąż stała - nie przy drzwiach jednak, ale przy oknie - i patrzyła na wielką siedzibę Throckmortonów, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Kiedy podał jej szklankę, wzięła ją posłusznie i jednym haustem wypiła całą wodę.

Usłyszał ciche „dziękuję", a potem zapadła cisza. W końcu Gussy podniosła głowę i spojrzała na niego. Otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć.

- Percy! - zawołała.

No tak. Musi pamiętać, że dla niej jest tylko ogrodnikiem, nie sławnym sportowcem obdarzonym tak zwaną „męską urodą". Poza wszystkim, wyraźnie wstydziła się tego, co zaszło rano w oranżerii. Z czego jasno wynikało, że nie ma zamiaru poznać go takiego, jakim jest naprawdę.

Dlaczego sprawiło mu to przykrość? Przecież jego eks-narzeczona była taka sama.

- Przepraszam, że zabrałam ci tyle czasu. - Gussy złapała Percy'ego za obrożę i podeszła do drzwi, po czym oparła się o framugę i przystanęła na chwilę.

Jed zapatrzył się na jej odsłonięte plecy. Były doskonałe. Podziwiał gładkość kremowej skóry, pod którą cienką kreską rysowała się linia delikatnego kręgosłupa, i poczuł ślinkę napływającą do ust. Zobaczył, że dziewczyna nabiera powietrza w płuca.

- To twój pierwszy dzień u nas... - Zawahała się chwilę i spojrzała na niego przez ramię. - Może zechciałbyś zjeść z nami obiad?

Jed chrząknął, niepewny, co odpowiedzieć.

- Babcia będzie zachwycona.

Oby.

- Moglibyśmy omówić wszystkie plany związane z ogrodem.

O Boże. Chyba mi odebrało rozum, zaczęła panikować Gussy.

- Wprawdzie nasz francuski kucharz wymówił nam niespodzianie, ale stara gospodyni też nieźle gotuje. A na deser jest kruche ciasto z jabłkami.

- Przekonałaś mnie.

Jed uśmiechał się, licząc w duchu, że usłyszy chociaż słowo o tym, że przychodząc, sprawi przyjemność także Gussy.

- Przyjdę. Włożę nawet koszulę.

Rozpromieniła się cała i wybiegła tak szybko, że nawet pies z trudem za nią nadążał.

Jed wrócił do łazienki, rozmyślając po drodze o tym, że wieczorem starsza pani Throckmorton nie tylko dokładnie odpyta go z tematu „krzyżowanie roślin", ale sprawdzi, czy umie zachować się przy stole.

Odkręcił kran i sięgnął po mydło, ale mydła nie było. Dziwne. Pamiętał, że zostawił je na urny walce. Czyżby Gussy, pozostając pod silnym wrażeniem jego męskiej urody, wzięła sobie jego mydło? Chyba zgłupiał. Po co jej jego mydło?

Każdy pretekst był dobry, żeby o niej myśleć. Najwyższy czas z tym skończyć. W końcu w tej pracy Gussy jest jego szefową, a z szefami nie wolno się spoufalać.

Postanowił zastosować się do rad, których sobie udzielał. Od jutra.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obiad u Throckmortonów

Chcąc naprawić złe wrażenie, które zrobiła rano w oranżerii - a Gussy nie miała najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie było - na wieczorny obiad ubrała się najskromniej, jak umiała. Można byłoby przypuszczać, że jest zakonnicą na wakacjach, a jeśli nie zakonnicą, to najcnotliwszą z nowicjuszek.

Pojawiła się w jadalni w kremowej bluzce z falbankami przy szyi i prostej granatowej spódnicy do pół łydki. Na nogach miała ażurowe pończochy w kolorze kości słoniowej i płaskie czółenka ozdobione kokardą, na nosie - okrągłe okulary w złotych, drucianych oprawkach.

Jed z kolei, nawet w garniturze i stonowanym, jedwabnym krawacie, nie stracił nic ze swojej męskiej, żeby nie powiedzieć zwierzęcej, siły. Gussy poczuła tak silne podniecenie na jego widok, że musiała odwracać wzrok, żeby nie zdradzić swoich uczuć. Z tego też powodu skupiła całą uwagę na Andrewsie i odpowiadała monosylabami na jego rozwlekłą relację z przygotowań do regat, które zapowiedziano w najbliższą sobotę.

Andrews wyglądał tak jak zawsze: jasne włosy, bladoniebieskie oczy, orli nos i pyzate policzki. Oczywiście! Niczego innego nie można się po nim spodziewać. Granatowy blezer i krawat, noszony przez absolwentów Harvardu, były jak jego druga skóra.

To Babka Throckmorton zaprosiła go na obiad, nie mówiąc

o niczym Gussy, która najpierw poczuła się niemile zaskoczona, a potem zadowolona, że tak się stało.

Pomysł ucieczki w małżeństwo, po to żeby zdobyć upragnioną wolność i zrzucić z siebie ograniczenia, narzucane przez rodzinę Throckmortonów, nie wchodził dłużej w rachubę. Po pierwsze: Jed okazał się ogrodnikiem, a niejednym z konkurentów do jej ręki. Ślub z nim spowodowałby trzęsienie ziemi, któremu Gussy nie umiałaby stawić czoła. Po drugie: ślub z Andrewsem, gdyby nawet za niego wyszła, dawał niewielkie korzyści. Zostając panią Andrewsową Lowell zyskałaby może nieco respektu należnego mężatkom, ale musiałaby zachowywać się jak młoda matrona, bo tego oczekiwało towarzystwo w Sheepshead Bay.

Gussy kątem oka widziała, jak Babka z godnością streszcza Jedowi swój wykład o pewnym gatunku róż, który wygłaszała dawno temu w Towarzystwie Ogrodniczym, a on, powstrzymując się od komentarzy, potakuje jej od czasu do czasu.

Kiedy skończyła, Andrews zaczął wypytywać Jeda o jego sportową karierę. Wygłaszał zdecydowane opinie o różnych drużynach hokejowych, zupełnie jakby się na tym znał, pomyślała zirytowana Gussy. Jed słuchał go z kamienną miną.

- W mojej angielskiej szkole grałyśmy w hokeja na trawie - wtrąciła. - Coś okropnego. Wielkie dziewczyny biegały po placu w krótkich plisowanych spódniczkach i podkolanówkach. I do tego te kije. Miałam posiniaczone łydki przez cały semestr.

Ignorując jej wkład do rozmowy, Andrews odwrócił się do Jeda.

- W jakiej drużynie grałeś? - W jego głosie wyczuwało się ślad podejrzliwości. - Nie pamiętam, żebym kiedyś o tobie słyszał.

- Najpierw grałem dla Black Wings, potem dla Whalers. W sumie sześć lat. Potem zaliczyłem atak Howitzera 0'Halli-

hana,który skończył się dla mnie poważnym uszkodzeniem kolana i kontuzją oka.

- Stąd ta blizna... - powiedziała Gussy ze współczuciem.

- Jaka blizna? - Andrews popatrzył na nią skrzywiony.

Jed też się nie odezwał, a Babka potrząsnęła głową z niesmakiem, żeby Gussy nie miała wątpliwości, że w towarzystwie podobne spostrzeżenia zachowuje się dla siebie.

- Darujmy sobie szczegóły medyczne. Dość, że musiałem skończyć karierę.

- Można powiedzieć, że miałeś szczęście. Dostałeś chyba niezłą odprawę. Sportowcy zarabiają przecież krocie.

Nie do wiary. Andrews mówi przy stole o pieniądzach! Tego Gussy nigdy by się nie spodziewała. Był zazdrosny o Jeda! Nie czuł się pewnie w jego obecności i musiał znaleźć sposób, żeby zaistnieć.

- Nie miałem kontraktu dla supergwiazd - odpowiedział Jed spokojnie - ale rzeczywiście płacono mi nieźle.

- Grzebanie się w ziemi musi być teraz dla ciebie - mówiąc to, układny zazwyczaj Andrews zrobił się jeszcze bardziej układny niż zwykle - straszną degradacją.

Jed milczał.

Wtedy Marian, wybierając bezbłędnie odpowiedni moment, dała znak Thwaite'owi, żeby zebrał talerze po zupie i podał główne danie.

Zapadła kłopotliwa cisza. Lokaj obszedł stół, podsuwając wszystkim po kolei półmisek z pieczonymi przepiórkami. Kiedy nadeszła kolej na Gussy, cofnął tacę tak szybko, że nie zdążyła donieść mięsa na talerz i tłusty sos kapnął na nieskazitelnie biały obrus. Babka zacisnęła usta, Thwaite ostentacyjnie czyścił plamy, a Gussy, skulona ze wstydu, wybąkała „przepraszam, babciu" prosto w perłowe guziczki swojej bluzki.

Na szczęście Jed zareagował natychmiast.

- A ty, Andrews? Czym się zajmujesz? - zapytał, odciągając od niej uwagę obecnych.

Andrews nadął się. Zrobił z siebie wielkiego finansistę, mówił coś o kredytach, kontroli inwestycji i zbieraniu danych. Przechwalał się tak, jakby rzeczywiście zajmował odpowiedzialne stanowisko w jakimś banku. Tymczasem Gussy wiedziała doskonale, że Andrews pracował bardzo krótko, tuż po studiach, i że zanim zdołał osiągnąć cokolwiek w zawodzie, porzucił posadę, gdyż odziedziczył po jakimś wuju niewielkie pieniądze. Od tego czasu z wysiłkiem starał się pomnożyć tę sumę.

Całe Sheepshead Bay wiedziało, chociaż oczywiście nikt nie mówił o tym głośno, że finanse Lowellów były ostatnio w nie najlepszym stanie. Gussy zastanawiała się czasami, czy Babka nie chce aby wydać jej za mąż za Andrewsa tylko po to, żeby podreperować nadszarpnięty majątek jego rodziny.

Ale teraz nie mogła mieć za złe Babce, że kierują nią materialne pobudki. Przecież dopiero co ona sama postanowiła wyjść za mąż wyłącznie po to, żeby wyrwać się spod kontroli rodziny. Jej plan zawalił się szybciej, niż myślała nie dlatego, że zawstydziła się własnej hipokryzji, ale dlatego, że...

No tak. Dlatego, że Throckmortonowie nigdy nie zaakceptowaliby Jeda.

Gussy spojrzała na niego spod rzęs. Zręcznie oddzielając mięso od kości, prowadził rozmowę z Andrewsem i Babką, i ani na chwilę nie tracił zimnej krwi. Cały Jed. Za to go polubiła.

Oczywiście tatuaż i wygląd też były ważne. Skłamałaby, nie przyznając się do tego. Ale dostrzegła w nim znacznie więcej zalet: inteligencję, poczucie humoru, panowanie nad emocjami. Przy nim Andrews ze swoimi przechwałkami wydawał się dziecinny i niepoważny. Nawet Thwaite, który z odległości kilometra wyczuwał u wszystkich ich słabe miejsca i bezlitośnie wykorzystywał tę wiedzę, nie zdołał go upokorzyć.

Gussy była ciekawa, jak ułożą się stosunki Jeda i Babki. Spotkanie dwóch tak silnych charakterów zapowiadało się interesująco.

I jak tu się dziwić, że taka cicha myszka jak ona polubiła kogoś takiego jak Jed? Ale ciche myszki dostają to, na co zasłużyły. Ona ma niezdecydowanego, niezbyt interesującego Andrewsa! Myśl o ich wewnętrznym podobieństwie nie od dzisiaj wprawiała ją w depresję.

- Zdecyduj, kiedy zagramy mecz, z którego zrezygnowałaś dzisiaj rano. - Andrews patrzył na nią wyczekująco. - Felicja i Ted proponują nam debla.

Felicja była straszna, a Ted nudny, ale widząc, że Babka bacznie się jej przygląda, Gussy uśmiechnęła się grzecznie i ustaliła stosowny dzień. Trudno. Myszki, które boją się odezwać, mają za swoje.

Siedzący naprzeciw Jed gotował się ze złości. Nawet w najgorszych snach nie wyobrażał sobie, że obiad z Throckmortonami będzie aż tak deprymującym przeżyciem. Lokaj, który przeszywał go niezadowolonym spojrzeniem, wykład Marian Throckmorton i co najgorsze - Gussy flirtująca jakby nigdy nic z tym mydłkiem. No dobrze - z jednym ze swoich wielbicieli.

Ponuro przyglądał się, jak dotyka palcami rękawa Andrewsa. A teraz umawia się z nim na randkę. Tymczasem Babka patrzy na to wszystko z rozanielonym wyrazem twarzy.

Właściwie nie miał żadnych podstaw, żeby się złościć. Co więcej, kochliwa dziedziczka wcześniej zachowywała się tak samo, więc nie powinien się dziwić. A jednak było mu przykro.

- Czy weźmiesz udział w tegorocznych regatach, Andrews? - zapytała pani Throckmorton.

- Tak, jak ustaliliśmy wcześniej, w tym roku nie będę w żadnej załodze. Zamierzam obserwować zawody z werandy Teda i Felicji. Stamtąd jest najlepszy widok.

Dlaczego on jest taki zadowolony z siebie? zastanawiał się Jed z irytacją.

- Czy dołączysz do mnie, Gussy? - ciągnął Andrews. - Potem zapraszam cię na tańce.

- Obiecałam paniom z Towarzystwa Ogrodniczego, że będę sprzedawać napoje. - Gussy miała dziwnie przytłumiony głos.

- Znajdziesz czas, żeby potańczyć - naciskała Marian.

Gussy głośno westchnęła, a w jej oczach pojawił się błysk złości. Albo tak się Jedowi wydawało. Może jednak Andrews nie jest jej wymarzonym partnerem. Zadowolenie Jeda nie trwało długo. Jeśli nie Andrews, to kto? Na pewno umówiła się już z kimś obdarzonym większym temperamentem.

- Z przyjemnością przyjmę twoje zaproszenie. - Gussy mówiła wprawdzie do Andrewsa, ale wyraźnie patrzyła na Jeda.

Andrews obrócił w jego stronę triumfalny wzrok. Jed zignorował go i zajął się obserwacją Gussy. W rozproszonym świetle wielkiego żyrandola wyglądała subtelnie, żeby nie powiedzieć anielsko: kremoworóżowa w tonacji, ze złotymi błyskami we włosach, rozdzielonych pośrodku.

Nie była olśniewającą pięknością ani demoniczną *femme fatale*. Takich kobiet od dawna nauczył się unikać. Była wcieleniem słodyczy i łagodności. Co więcej, niespodziewanie dla samego siebie zauważył, że jest krucha i łatwo ją zranić. Cholera. Czuł zdradzieckie ciepło w okolicach serca. Ten typ dziewczyn lubił najbardziej.

- Nasze regaty są wielkim wydarzeniem. - Marian Throckmorton, zadowolona, że zorganizowała czas wnuczce, zwróciła się znowu do Jeda. - Ogląda je całe Sheepshead Bay.

- Mam mnóstwo pracy i obawiam się, że muszę darować sobie tę rozrywkę - odpowiedział Jed sucho.

- Trwają cały dzień. Na pewno znajdzie pan chwilę, żeby

pójść na nabrzeże. - Marian rozejrzała się po stole i skinęła na Thwaite'a, który natychmiast zaczął uprzątać talerze.

- I kupić szklankę lemoniady, żeby wspomóc finansowo nasze Towarzystwo Ogrodnicze - dodała nieśmiało Gussy.

- Będzie też mnóstwo innych atrakcji - wtrąciła gładko Marian. - Zawody w jedzeniu szarlotki, wystawa robótek ręcznych urządzona przez członkinie Kościoła Episkopalnego i oczywiście pokaz kwiatów.

- A jeśli nie lubisz lemoniady, w sąsiednim namiocie sprzedają piwo - zaśmiał się Andrews, zabierając się do pałaszowania deseru, który postawił przed nim Thwaite.

- Lubię lemoniadę. - Jed uśmiechnął się uprzejmie. - A po całym poranku spędzonym na pielęgnowaniu grządek Vanessy Van Pelt na pewno będę spragniony jak wilk.

Wtedy, ku jego zdumieniu, Andrews parsknął śmiechem, ale zaraz zreflektował się i ukrył twarz w serwetce. Gussy z pociemniałymi nagle oczami spuściła głowę i wpatrzyła się w talerz.

- Chyba wspominałem wcześniej - powiedział Jed w absolutnej ciszy, jaka zapadła przy stole - że pani Van Pelt również jest moją klientką?

Do diabła! Dlaczego wszyscy oni wyglądają, jakby połknęli żabę? Pani Throckmorton patrzyła przed siebie, Gussy w dalszym ciągu studiowała swój talerzyk z taką uwagą, jakby był to co najmniej kamień z Rosetty, a Andrews krztusił się ze śmiechu, próbując jeść deser.

To było nie do zniesienia. Jed przełknął szybko łyk kawy. Dlaczego dawał się tak upokarzać? Przecież wcale nie musiał siedzieć przy jednym stole z tą bandą nadętych snobów!

- Dziękuję za zaproszenie - zwrócił się do pani Throckmorton, wstając. - Obiad był świetny, ale jutro czeka mnie mnóstwo pracy.

- Tak jak wcześniej ustaliliśmy, Augustyna i ja czekamy na pana rano, żeby udać się razem do ogrodu. Dobranoc panu.

- Ale… - Gussy skoczyła na równe nogi.

- Usiądź, Augustyno. - Marian skinęła na lokaja. - Thwaite odprowadzi pana Kelleya.

Gussy natychmiast opadła na krzesło.

- Coś podobnego! - Marian wzniosła oczy ku niebu, kiedy tylko za Jedem zamknęły się drzwi.

- Pielęgnowanie grządek pani V. P. Dobre sobie! - prychnął Andrews.

Giissy zacisnęła pięści z bezradnej złości.

- Ale czegóż można spodziewać się po… - zaczęła Marian wyniośle.

Tego już Gussy nie zniosła.

- Oboje zachowujecie się wyjątkowo niegrzecznie! - Wstała gwałtownie i pobiegła za Jedem.

W holu zderzyła się z Thwaite'em. Upadłby, ale powstrzymała go dosłownie w ostatniej chwili. Zdziwiło ją, że jest taki kruchy i lekki. Przemknęło jej przez myśl, że Thwaite jest tylko starym, zgorzkniałym człowiekiem, który tak naprawdę nie może nikogo zastraszyć, ale zbyt się spieszyła, żeby dłużej się nad tym zastanowić.

Dopadła drzwi i otworzyła je jednym szarpnięciem. Zobaczyła niewyraźny cień i rzuciła się w tamtą stronę.

- Jed! - zawołała, wyciągając ręce.

Ale to nie był Jed. Pod palcami poczuła nagą skórę, owłosione piersi i twarde jak żelazo mięśnie. Przerażona spojrzała wyżej. W blasku światła padającym z holu zobaczyła łysą głowę, małe błyszczące oczy i naznaczoną bliznami twarz. Otworzyła usta i zaczęła krzyczeć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Deser z Gussy

Jed dochodził już do wozowni, kiedy usłyszał kobiecy krzyk. Gussy! Rozpoznał jej głos natychmiast i zanim zdążył pomyśleć, pognał z powrotem przez trawnik do dużego domu. Dopadł balustrady i przeskoczył ją jednym susem, nawet się nie zatrzymując.

W tym samym momencie na podeście pojawili się Thwaite, Marian i Andrews. Zrobił się niesamowity rozgardiasz. Po chwili ponad gwar wybił się stanowczy głos Marian:

- Augustyno! Zechciej powiedzieć, co znaczyły te krzyki?

Gussy wyszła z cienia i stanęła u stóp schodów, ciągnąc za sobą potężnego mężczyznę z łysą głową.

- To Godfrey - wyjaśniła.

Marian wachlowała się koronkową chusteczką.

- Godfrey? Z całą pewnością nie znamy nikogo o tym imieniu.

Jed zrobił krok do przodu. Godfrey miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był nabity jak zapaśnik. Nosił czerwony, siatkowy podkoszulek i obcisłe czarne spodnie ze skóry. Jed nigdy jeszcze nie widział brzydszego faceta. I równie potężnie zbudowanego. Gussy z trudem obejmowała jego biceps.

- Godfrey jest lokajem April - wyjaśniła. - Krzyknęłam, bo wpadłam na niego w ciemnościach.

Thwaite parsknął z pogardą i zrobił pełną wyższości minę. Godfrey spojrzał na niego przenikliwie i tak długo nie spuszczał

oczu z jego twarzy, aż Thwaite schował głowę między ramiona i wycofał się za kolumnę podtrzymującą ozdobny portyk nad wejściem.

Nie należy sądzić ludzi po wyglądzie, powtórzył sobie starą maksymę Jed.

- Jakim cudem znalazł się w Maine? Przecież April jest teraz w podróży poślubnej.

W głosie Marian wyczuwało się pretensję do całego świata.

- Właśnie skończył likwidować dom April w Chicago, bo zaraz po powrocie do Stanów ona i jej mąż jadą prosto do Gwatemali. - Gussy poklepała Godfreya po potężnym ramieniu. - April prosi, żebyśmy zatrzymali go u nas do czasu jego powrotu do Anglii.

- O mój Boże! Do czasu powrotu? - wyrwało się Marian.

Widać było, że nie wie, co powiedzieć, ale już po chwili odzyskała rezon.

- Oczywiście, możemy pozwolić, żeby został tu jedną noc, a jutro z samego rana zapewnimy mu miejsce w samolocie do Anglii. A teraz przejdźmy do środka. Powietrze jest zbyt chłodne, żeby przebywać na dworze. Thwaite, proszę połączyć się z moim biurem podróży zaraz po...

- Ja nie latam.

Wyraźny brytyjski akcent. Nie skrywany gburowaty ton.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę i spojrzeli na Godfreya, który stał niewzruszony jak skała, z nieforemnym chlebakiem przewieszonym przez ramię i znowu milczał.

- Jak to: nie latam? - powtórzyła Gussy.

- Nigdy - burknął.

- N o i...?

Godfrey zmarszczył wypukłe czoło. Krzaczaste brwi ściągnęły się mu w jedną linię, nadając twarzy jeszcze obrzydliwszy wyraz.

- Dostałem od April bilet na „Queen Elizabeth I I " . Odpływa za pięć tygodni.

Marian wydała krótki okrzyk zgrozy i uniosła w górę ręce. Potem wzięła Andrewsa pod ramię i dumnie wmaszerowała do holu.

- Ciekawe, co ta April jeszcze wymyśli - dobiegł ze środka jej głos.

- Witamy w rodowej siedzibie. - Gussy skłoniła lekko głowę. - Mam nadzieję, że będzie to miły pobyt. Wejdź, Godfreyu. Thwaite z przyjemnością zajmie się tobą, prawda, Thwaite?

- Zgodnie z życzeniem, panno Augustyno. - Lokaj z miną pełną obrzydzenia stał, przytrzymując drzwi.

- Gussy, czekamy - zawołał Andrews.

- Za chwilę! - odkrzyknęła, pozostając na zewnątrz.

A kiedy Thwaite zamknął drzwi, dodała cicho:

- Najpierw odprowadzę Jeda do wozowni.

- Mowy nie ma. Czy ty naprawdę myślisz, że pozwolę ci wracać samej w tych ciemnościach? Nie wiem, czy wytrzymałbym następny mrożący krew w żyłach krzyk.

- Sam byś krzyknął, gdybyś wpadł na kogoś takiego jak Godfrey - broniła się. - Wcale nie mam zwyczaju krzyczeć. A poza tym znam tu każde źdźbło trawy.

- Do połowy drogi? - zaproponował. - Miły spacer w świetle księżyca aż do fontanny.

- Dobrze.

Wzięła Jeda pod ramię i leciutko westchnęła. Przecież właśnie o czymś takim marzyła. Wyszli z kręgu światła padającego znad drzwi i weszli w ciemność, rozpraszaną co kilka metrów nikłym światłem żaróweczek wytyczających ścieżkę. Ciszę przerywało tylko szuranie kamyków pod ich butami i cichy szmer fontanny.

Jed odezwał się pierwszy.

- Kim jest osoba o imieniu April i co zmusiło ją do powierzenia funkcji lokaja takiemu facetowi jak Godfrey?

- April to moja starsza o dwa lata siostra - zaśmiała się Gussy. - Niedawno wyszła za mąż za archeologa, który prowadzi badania w Ameryce Środkowej. Dokładnie nie wiem, dlaczego wybrała Godfreya, ale ja też chyba go polubię. Zresztą April mówiła, że nie jest taki straszny, na jakiego wygląda.

- Miejmy nadzieję. - Jed też parsknął śmiechem.

- Konkurencja dobrze zrobi Thwaite'owi.

Zamilkła, a Jed mógłby przysiąc, że wie, co teraz dzieje się w jej głowie. I nie pomylił się.

- Zdaję sobie sprawę, że zachowuję się jak głuptas, ale Thwaite upokarza mnie, kiedy tylko może - dodała po chwili.

- Bo mu na to pozwalasz - powiedział głośno.

Babce też na to pozwalasz, pomyślał. Swoją drogą, dziwne, jak Gussy zmienia się w obecności tamtych dwojga. Gdyby nie przekonał się na własnej skórze, nie uwierzyłby, że potrafi być taka śmiała wobec wielbicieli.

Czyżby w głębi duszy nie była kapryśną, rozpuszczoną dziedziczką?

Doszli właśnie do fontanny. Tam zbiegały się wszystkie ogrodowe ścieżki. Lampy umieszczono pod powierzchnią wody, co sprawiało wrażenie, jakby światło poruszało się zgodnie z ruchem drobnych fal. Twarz Gussy, z siateczką blasków i cieni, wydawała się jak wyjęta ze starej ryciny.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie - przyznał.

- Naprawdę? - Wyznanie Jeda chyba sprawiło jej przyjemność.

- Tak. Nigdy nie wiem, czego można się po tobie spodziewać.

Hurra! To cudownie! Gussy miała ochotę krzyczeć ze szczęścia. Zawsze była taka spokojna i przewidywalna, zawsze na

drugim planie, nigdy w centrum zdarzeń, jak April i rodzice. A teraz - proszę. Kto wie? Może nawet sama uwierzy, że jej decyzja o rozpoczęciu nowego życia nie była całkowitą klęską?

Jed zauważył w niej to, czego nie widział nikt inny. On jedyny zechciał spojrzeć na nią uważnie. A teraz co? Co zrobiłaby na jej miejscu taka April?

- Przykro mi, że ominął cię deser.

- Miałem wrażenie, że uznaliście, iż powiedziałem coś niestosownego.

Nie mogła mu wyjaśnić, że Vanessa Van Pelt ma zwyczaj sypiania ze wszystkimi ogrodnikami, jakich zatrudnia. Nie teraz, kiedy sama miała ochotę na coś podobnego. Ciekawe, czy ktokolwiek w Sheepshead Bay wpadłby na pomysł, że Gussy ma coś wspólnego z tą lisicą Vanessą? Z pewnością nikt.

- Wydaje mi się, że mogłabym znaleźć dla ciebie jakiś zastępczy deser.

Jed zmarszczył jedną brew. Poruszyła się blizna na jego skroni.

- Masz na myśli coś konkretnego?

Też pytanie! Oczywiście, że tak. Tylko musi to zrobić. I to już!

I zanim zdążyła stchórzyć, zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła go całować - z wielkim entuzjazmem, alei z niewielką znajomością rzeczy. Jed stał nieruchomo, z dłońmi na jej plecach, ale po chwili przesunął je wyżej i splótł na jej głowie. Rozluźniła się nieco i poddała uściskowi jego silnych rąk.

Fala pożądania rozchodziła się powoli po całym jej ciele. Wydawało się, że gorąco ogarnęło każdą, najdrobniejszą nawet kosteczkę.

I wtedy Jed delikatnie przekręcił jej głowę. Ruch był nieznaczny, niemal niezauważalny, ale nagle ich usta zaczęły do siebie pasować.

A więc tak smakuje prawdziwy pocałunek! pomyślała. Jest cudowny!

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła, bo Jed zamknął jej usta następnym prawdziwym pocałunkiem i wszystko inne straciło sens. Marzyła teraz o jednym: żeby ta chwila trwała wieki, żeby Jed nie przestawał jej całować, nawet jeśli niebo zwali się im na głowę, albo morze zmyje ich z powierzchni ziemi, albo nastąpi koniec świata. W tym jednym momencie poczuła się jak gwiazda - jak błyszczące ciało niebieskie umieszczone gdzieś na sklepieniu nieba, i to było więcej, niż mogła wymarzyć sobie w snach.

Może chciała zbyt wiele, bo Jed zupełnie niespodziewanie wypuścił ją z uścisku i cofnął się o krok. Gussy nie rozumiała, co się dzieje. Stała, chwiejąc się na nogach, z nieobecnym wyrazem twarzy i zamętem w głowie. I wtedy Jed poklepał ją po ramieniu tak, jak klepie się najlepszego kumpla, i powiedział kpiąco:

- Dziękuję za deser.

Po czym zniknął w ciemności.

Gussy nie mogła pozbierać myśli. Jak mógł całować ją tak, że poruszyła się pod nimi ziemia, a chwilę później traktować ją obojętnie? Usiadła na krawędzi fontanny. Nawet nie zauważyła, że rani sobie nogi o kłujące gałęzie krzaka, który rósł nieopodal.

Boże! Przypomniała sobie dzień swoich szesnastych urodzin. Wtedy kochała się po raz pierwszy i jak dotąd ostatni. April wybierała się właśnie na studia, a Gussy uznała, że życie przecieka jej przez palce, i na pokładzie żaglówki Andrewsa zdecydowała się pójść na całość.

Potem z wielkim trudem udało się jej ukryć rozczarowanie. Łzy lały się strumieniami z jej oczu. Następnego dnia powiedziała Andrewsowi, że mogą być tylko przyjaciółmi.

Czy wówczas on czuł to samo, co ona teraz? Jeśli tak, to… Biedny Andrews.

Biedna Gussy.

Zaczynał się drugi dzień nowego życia. Dzisiaj jednak Gussy nie patrzyła optymistycznie w przyszłość. Rano spędziła długie dziesięć minut z pradziadkiem, wysłuchując jego narzekań na przeciągi, odczuwane pomimo zamkniętych drzwi, zaciągniętych wełnianych zasłon i zatrzaśniętych okiennic.

Później zjadła śniadanie z Babką, która tego dnia była w wyjątkowo podłym nastroju i bez przerwy narzekała na obecność lokaja April.

Godfrey nic sobie z tego nie robił, a ponieważ nie był człowiekiem czekającym na polecenia innych, od rana przejął kontrolę nad kuchnią. Obie panie zostały o tym powiadomione przez Thwaite'a który w charakterystyczny dla siebie sposób dał do zrozumienia, że nie jest zadowolony z towarzystwa.

Być może. Ale francuskie grzanki były przepyszne.

- Nie zapomnij włożyć kaloszy, Augustyno - poinstruowała Babka, wstając od stołu, gdyż dochodziła ósma. Była to godzina umówionego spotkania z Jedem, a ona nie zwykła się spóźniać.

- I pamiętaj o swetrze. Pogoda o poranku bywa zdradliwa.

Marian Throckmorton miała na sobie wełniany kostium, ale uznała chyba, że to nie wystarczy, bo dodatkowo otuliła się wiekowym płaszczem w szkocką kratę.

- Babciu, nie mam pięciu lat - odważyła się zaprotestować Gussy, która z wyraźnym ociąganiem wybierała się do ogrodu. - Przecież to koniec lipca! A na dworze jest całkiem ciepło.

- Nie mam pojęcia, co się ostatnio z tobą dzieje, Augustyno. Bywasz strasznie rozdrażniona.

Gussy nie odpowiedziała. Szybko wciągnęła kalosze i wybiegła na dwór.

- Idę wypuścić psa - rzuciła przez ramię i od razu skierowała się do psiarni, w której rezydował Percy.

Z rozwianymi włosami i nachmurzoną miną popędziła przez trawnik. Od wczesnego dzieciństwa nauczyła się uciekać od niemiłych sytuacji do ogrodu albo do pobliskiego lasu. Podczas kiedy mała April zwijała się z książką na kanapie albo oglądała telewizję, Gussy potrzebowała kontaktu z naturą. Tylko na dworze czuła się wolna jak wiatr.

Dzisiaj uciekała od wspomnień wczorajszego pocałunku, a raczej niespodziewanego kosza, którego dostała od Jeda. Jeszcze jedno upokorzenie w jej i tak pełnym upokorzeń życiu... Mogła jedynie mieć nadzieję, że Jed nie domyślił się, jakie uczucia nią kierowały. Musiała jakoś oszczędzić sobie dalszego wstydu.

Percy przywitał ją z ekstatyczną radością. Przynajmniej wiadomo, po co ludzie trzymają psy. Na nich nie można się zawieść.

Poszła z psem na wybrzeże. Zapatrzona w morze, próbowała ustalić, jak ma się zachować. Po przyjacielsku, to pewne. Ale powinna utrzymywać dystans. Musi być rozluźniona, ale nie za bardzo. Niech Jed sam zobaczy, że pocałunek nie miał dla niej znaczenia. A jeśli kiedyś wróci do tego incydentu, ona zaśmieje się mu prosto w nos jak Vanessa Van Pelt. „Pocałunek? Jaki pocałunek? - odpowie mu. - Jeden więcej, jeden mniej. Nie sposób pamiętać wszystkiego".

- Augustyno! Percy, leżeć! Augustyno! - dobiegły ją zirytowane okrzyki Babki.

Rozejrzała się dokoła. Nawet nie zauważyła, kiedy Percy wrócił do domu. Westchnęła ciężko i zrezygnowana powlokła się jego śladem.

Czas konfrontacji nadchodził nieodwołalnie.

W ogrodzie zobaczyła Babkę, która pokazywała ręką kępy roślin, wyjaśniając, jak sobie wyobraża ich pielęgnację. Jed

klęczał, trzymając psa za obrożę, i rozglądał się w poszukiwaniu Gussy.

- Dzień dobry, panie Kelley - powiedziała, nie podnosząc głowy. Ręce wcisnęła głęboko w kieszenie spodni.

Zauważyła, że uniósł brwi w geście zdumienia.

- Dzień dobry, panno Fairchild - odpowiedział, wstając.

- Czy możemy zacząć?

- Pani prowadzi.

Gussy wygięła płaczliwie wargi. To miało wyglądać inaczej! Wcale nie chciała zachowywać się jak obrażona księżniczka albo odrzucona dziewica. Chciała speszyć Jeda. A tymczasem on wyraźnie z niej kpił.

Marian ustawiła się na czele grupy i stukając parasolem w płytki chodnika, wydała rozkaz:

- Idziemy! Najpierw do ogrodu różanego. Czy dobrze zna się pan na różach?

- Muszę przyznać, że to nie jest mój najmocniejszy punkt. Jellicoe niechętnie sadzi róże.

- Jellicoe! - Gussy otworzyła buzię ze zdziwienia. - Broadnax Jellicoe, największa sława wśród brytyjskich ogrodników? Pracowałeś z nim?

- Dla niego - poprawił Jed. - Nikt nie pracuje „z" Jellicoe.

- Wydawało mi się, że dawałam ci do przeczytania dossier pana Kelleya, Augustyno.

- Tak, babciu.

Nie mogła się przyznać, że nawet do niego nie zajrzała.

- Przecież mówiłeś, że zawodowo grałeś w hokeja - powiedziała podejrzliwie.

- Od szesnastego do dwudziestego drugiego roku życia każde wakacje spędzałem na praktykach u Jellicoe. Wtedy właśnie przeprowadził się do Nowej Anglii, żeby pokazać Amerykanom, jak należy zakładać i pielęgnować ogrody. Byłem jego ulubio-

nym uczniem. Okropnie się rozzłościł, kiedy mu oznajmiłem, że porzucam ogrodnictwo dla zawodowego hokeja. „Nigdy już nie posadzisz żadnej sosny ani nie wyhodujesz żadnej petunii" - powiedział mi na odchodnym.

- O rany! To brzmi jak klątwa! - jęknęła Gussy.

Nawet Marian wydawała się lekko zaniepokojona. Legendarny Jellicoe był od kilku lat na emeryturze, ale wciąż dyktował prawa w tym środowisku. Gdyby to, co słyszała, było prawdą, musiałaby natychmiast zwolnic Jeda Kelleya.

- Nie ma obawy. - Jed nie był wcale przejęty. - Zawsze krzyczy na ulubionych uczniów. To znak, że kogoś w ogóle zauważył.

Przez pergolę oplecioną gęsto cienkimi gałązkami, spomiędzy których wyglądały setki malutkich różyczek, weszli do ogrodu różanego. Na zielonych liściach błyszczały krople porannej rosy. Pośrodku stała ażurowa drewniana weranda pomalowana na biało. Roztaczał się z niej piękny widok na morze. Gussy myślała właśnie, że to idealne miejsce na następny pocałunek, kiedy Jed dotknął jej ramienia. Drgnęła gwałtownie i uciekła, jakby przyłapał ją na jakimś niecnym uczynku.

Dołączyła do Babki, która metodycznie obchodziła teren ogrodu i wskazując czubkiem parasola krzaki, rzucała nazwy poszczególnych gatunków. Gussy czuła się jak pani Andrewsowa Lowell - nudna, ale zawsze na miejscu. Coś okropnego.

Jed milczał. Babce najwyraźniej to odpowiadało, ale Gussy dobrze wiedziała, że w jego przypadku milczenie nie oznacza wcale, że się podporządkował.

- Czarna plamistość - odezwał się niespodziewanie.

- Co??? - Marian była obrażona, że ktoś śmiał w jej ogrodzie dopatrzyć się oznak najgroźniejszej choroby róż.

Jed delikatnie nagiął jedną z łodyg. Gussy przyklęknęła, zaintrygowana bardziej jego dłońmi niż groźną chorobą. Na

wewnętrznej stronie młodych liści widniały niewielkie czarne punkty. Jed przesunął jej palcem po pokrytych meszkiem liściach.

- On ma rację - wyjąkała.

Co za dotyk! Myślała wyłącznie o jego rękach.

- Tu nigdy nie było… - Marian Throckmorton włożyła na nos okulary. - O, Boże! Czarna plamistość w moim ogrodzie!

- To nic poważnego. Opryskamy róże i po kłopocie.

- Panie Kelley! Wszystko wskazuje, że był to najwyższy czas na zatrudnienie ogrodnika. - Schowała okulary do torby i wyprostowała się. - Chciałabym pokazać teraz aleję rododendronów. Potem zastanowimy się, co robić z hortensjami, które lak się rozrosły, że za chwilę rozsadzą taras.

Gussy nie mówiła nic. Patrzyła tylko w oczy Jeda, które dzisiaj przybrały zupełnie inny odcień. Były szaroniebieskie, jak morze w spokojny dzień.

A niech tam! Do diabła z dystansem. Do diabła z Andrewsem Lovellem.

Wiedziała, na jakie kłopoty narazi się, wybierając Jeda, ale była pewna, że chce tylko jego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Słodka trucizna

Gussy bardzo szybko zapomniała, że podczas inspekcji ogrodów miała zachowywać dystans wobec Jeda. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła rozmawiać i śmiać się razem z nim.

Percy dostosował się do jej nastroju i z takim rozpędem wbiegał w krzaki rododendronów, że łamały się drobne gałązki i osypywały płatki kwiatów. Babka próbowała uspokoić go parasolem, ale nagany nie skutkowały na długo. Gussy wiedziała, że powinna zamknąć psa, zanim narobi jeszcze więcej szkód, ale nie mogła zdobyć się na to, żeby odejść od Jeda. W końcu zniecierpliwiona Babka postanowiła zakończyć obchód. Kazała Gussy odprowadzić Percy'ego, potem zdjęła kraciasty płaszcz i oznajmiła, że wyjeżdża na umówiony lunch, zatrudniając Godfreya jako kierowcę.

- A ty, Augustyno - powiedziała na koniec przemowy - weź pana Kelleya i pojedźcie do starego Padgetta. Niech Padgett pozna naszego nowego ogrodnika, żeby nie próbował wpychać mu jakichś cherlawych iglaków.

- Tak, babciu - odpowiedziała Gussy posłusznie, pilnie uważając, żeby nie zdradzić swojej radości.

Z wypiekami na twarzy myślała tylko o tym, że czeka ją godzina sam na sam z Jedem. Może nawet dwie godziny! Szkół-

ka pana Padgetta i jego sklep ogrodniczy były naprawdę spore. Jed także wyglądał na zadowolonego. Albo tak się jej wydawało.

- Podjadę furgonetką pod główne wejście - zaproponował. A jeśli chodzi o wczorajszy pocałunek...

Gussy miała nadzieję, że jej śmiech zabrzmiał radośnie i żywiołowo.

- Jed! Czy warto mówić o takim głupstwie? To był kaprys, nic więcej. - Była zbyt zdenerwowana, żeby zauważyć zachmurzony wyraz twarzy Jeda. - Już o tym zapomniałam.

- Skoro tak, ja też zapomnę. Za pięć minut spotykamy się przed wejściem, panno Fairchild.

Nabrzeże tętniło życiem i mieniło się wszystkimi kolorami tęczy. Powietrze było gęste od zapachu soli i wodorostów. Jed i Gussy zasiedli na drewnianym tarasie miejscowej tawerny, zbudowanym nad samą wodą.

Był odpływ. Cofające się morze odsłoniło grube liny pokryte zielonymi welonami alg, do których przyczepiły się puste muszle po różnych skorupiakach.

Gussy czuła się znacznie lepiej niż rano. Wizyta w szkółce była bardzo udana. W godzinę obeszli cały teren oraz szklarnie. Napięta atmosfera rozluźniła się, kiedy zaczęli rozmawiać o roślinach, które przed nadejściem jesieni trzeba wymienić w ogrodzie Throckmortonów.

Jed szybko znalazł wspólny język z Tinkiem Padgettem, który nie znosił rozmów z przemądrzałymi amatorami, ale szanował fachowców. Żaden z nich nie potrzebował rad botanika z cenzusem, więc Gussy czuła się zupełnie zbyteczna.

Wyjechali stamtąd furgonetką zapełnioną drzewkami i krzakami, kupionymi po prawdziwie okazyjnych cenach.

Teraz, popijając zimne napoje, czekali, aż pojawi się kelnerka

z zamówionym lunchem. Jed obserwował mały jednomasztowiec, który przygotowywał się do wypłynięcia w morze.

- Masz takie same okulary jak ja - powiedziała Gussy pochylona nad szklanką z sokiem.

- Zupełnie o nich zapomniałem. - Jed zdjął okulary i niedbałym ruchem rzucił je na stół.

Gussy nie mogła się opanować. Kiedy Jed zaczął znowu obserwować stateczek, wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po metalowej oprawce. Była jeszcze ciepła od jego ciała.

- Noszę je tylko wtedy, kiedy prowadzę samochód. - Jed potarł ręką nos. - Pamiętasz Howitzera 0'Hallihana? Kiedy rozwalił mi skroń, miałem mocno uszkodzone oko. Odkleiła mi się siatkówka. Od czasu do czasu miewam jeszcze zakłócone pole widzenia.

- Czy Howitzer skończył w więzieniu?

- O! Co to, to nie - zaśmiał się Jed. - Bardziej prawdopodobne, że dostał nagrodę za uderzenie tygodnia.

- To straszne!

- Taki jest hokej.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Opowiedz mi raczej, jakim cudem trafiłeś do Jellicoe? Słyszałam, że nawet teraz, kiedy jest na emeryturze, tłumy młodych ludzi chcą dostać się do niego na praktykę.

- Po znajomości. Był konsultantem podczas rekonstrukcji pewnego zabytkowego ogrodu w Massachusetts. Tak się złożyło, że moja matka kierowała komitetem koordynującym prace. Jellicoe polubił ją, bo nigdy nie dała mu się zastraszyć.

Gussy bardzo chciała usłyszeć trochę plotek.

- Czy to prawda, że Jellicoe nakrzyczał kiedyś na księżną Grace? I czy to prawda, że zatrudnia tylko mężczyzn?

- Krzyczy na wszystkich bez wyjątku. - Jed wzruszył ramionami.

- A co z mężczyznami?

- Tylko nie oberwij mi głowy. - Jed z udawanym strachem odsunął się razem z krzesłem. - Jellicoe nigdy nie zatrudnia kobiet. Według niego kobiety to amatorki, które nadają się tylko do grzebania w ziemi na własnym podwórku.

Podniósł ręce do góry w obronnym geście.

- Co nie znaczy, że ja zgadzam się z jego opinią.

- Pracując z nim, milcząco popierasz jego przekonania. - Udała, że jest zagniewana. - Ale nie mnie walczyć z jego antyfeminizmem. Sama jestem najlepszym dowodem na to, że on ma rację. Nie zrobiłam w życiu nic, mimo że mam dyplom.

Jed pochylił się do niej. Nogi krzesła z hałasem opadły na drewniany podest.

- Dlaczego nie? - zapytał poważnie.

- Dobre pytanie.

Gussy chciałaby odpowiedzieć sama sobie, dlaczego pędzi luksusowe i próżniacze życie. Chyba dlatego, że najłatwiej jest robić to, czego wszyscy od ciebie oczekują. Od niej żądano tylko, żeby brała udział w życiu towarzyskim i wybranych imprezach dobroczynnych.

Roześmiała się perliście. Jeszcze trochę poćwiczę, pomyślała, a zacznie mi to wychodzić.

- Nie uważasz, że świat potrzebuje zapasu bezużytecznych panienek, które spacerują po nim w celach czysto dekoracyjnych?

Jed nie wydawał się przekonany.

- Tak naprawdę - odchrząknęła - masz ochotę mi powiedzieć „zacznij pracować", ale ci nie wypada. Mam rację?

- Nie do końca.

- Mógłbyś wyrażać się jaśniej? - Zmrużyła oczy, ale on znowu wzruszył tylko ramionami. - Nienawidzę facetów, dla których wzorcem osobowym jest Gary Cooper ze swoimi lakonicznymi odzywkami.

Rozśmieszyła go. Uśmiechnął się szeroko. Gussy westchnęła, zachwycona. Zawsze kiedy się uśmiechał, w jego oczach błyskały wesołe ogniki. Wydawało się jej, że ktoś rozsypał garść szafirów błyszczących w słońcu.

- Mężczyźni w przeciwieństwie do kobiet nie sprawdzają się werbalnie. Są bardziej...

- Oralni - przerwała, sama zadziwiona swoją bezczelnością.

Podniósł głowę i popatrzył na nią uważnie. Poczuła się sprowokowana, żeby ciągnąć ten mało wyrafinowany żart.

- Ciekawe, czy według mężczyzn kobiety sprawdzają się oralnie tak samo dobrze, jak werbalnie?

- Chyba zapominasz - odezwał się zimno - że jestem ogrodnikiem, a nie jednym z twoich adoratorów.

Rozejrzał się zniecierpliwiony, czy nie nadchodzi kelnerka, która mogłaby przerwać tę rozmowę. Gussy udawała, że niczego nie dostrzega. Nie wiedziała, co się z nią dzieje - była ożywiona, śmiała i elokwentna. Nareszcie reagowała jak kobieta świadoma swojego powabu, a nie jak mysz.

- Czy nie miałbyś ochoty do nich dołączyć?

- Nie! - Zrobił krótką przerwę i dodał dobitnym głosem: - W żadnym wypadku.

- Och! - szepnęła. Buzia skurczyła się jej w jednej chwili. -Przepraszam.

- Nie traktuj tego zbyt osobiście - próbował naprawić przykrość. - Ja po prostu nie umiem odnaleźć się w tłumie.

Poczuł się jak skończony cham. Gussy miała żałosną minę, a przecież jeszcze przed chwilą flirtowała z nim otwarcie i wyzywająco. Dziwna dziewczyna. Wczoraj było podobnie. Wieczorem sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę wskoczyć mu do łóżka, a dzisiaj rano zamknęła się w sobie i trzymała go na dystans. Już lepiej się nie odzywać, bo nigdy nie wiadomo, na którą Gussy się trafi.

Poczuł złość na samego siebie. Pomimo wcześniejszych postanowień, poddał się urokowi panny Augustyny Fairchild.

Na szczęście dla nich obojga przy stoliku pojawiła się kelnerka ze świeżym orzechowym chlebem, sałatą dla Gussy i zupą z krabów dla niego.

- Wiesz - zaczął ostrożnie - nie powinno się mieszać interesów i przyjemności. Gdybym cię nie pocałował...

- Dlaczego? Jed, skądże znowu... - zaczęła pewnie, ale zaraz załamał się jej głos.

Opuściła głowę, ale po chwili spojrzała na niego oskarżycielsko.

- A Vanessa Van Pelt?

- Co Vanessa Van Pelt?

- Nie mów mi - Gussy bawiła się widelcem, nie patrząc mu w oczy - że Vanessa nie próbowała... No, sam wiesz...

- Próbowała, ale bez większych sukcesów.

- Proszę, proszę! - Gussy hardo uniosła podbródek. - Gdziekolwiek by spojrzeć, kobiety rzucają ci się do stóp, a ty nic. Jed Kelley - wzorzec cnoty.

Odetchnął w duchu. Przynajmniej nie była już tak przygnębiona jak przed momentem.

- Nie twierdzę, że nigdy nie mówię „tak".

- Ale nie klientkom.

- To prawda.

Gdyby wiedziała, jakie to czasami trudne... Na przykład wczoraj wieczorem... Co gorsza, przeczucie mówiło mu, że będzie jeszcze trudniej. I jakby na potwierdzenie najgorszych obaw, Gussy odezwała się cicho:

- A gdybym nie była twoją klientką?

Nie był do końca pewien, co w tej chwili chodziło jej po głowie, ale i tak świat zawirował mu w oczach.

- A niech mnie! CKM Kelley!

Jed z ogłupiałą miną zamrugał oczami. Basowy głos o silnym kanadyjskim akcencie wdarł się przemocą w obraz, który budował w wyobraźni z drobnych fragmentów różnych wypowiedzi Gussy.

- Jed, to ty?

Cholera, piękna fantazja rozsypała się w gruzy.

- No, nie! Uwierzyłbym we wszystko, ale nie w to, że w takiej dziurze spotkam samego CKM Kelleya! Ale ten świat jest mały, Jed!

Wielki jak niedźwiedź mężczyzna wbiegał na podest, przeskakując po dwa stopnie. Uśmiechał się do ucha do ucha i wymachiwał rękami na powitanie. Jed wstał.

- Cześć, Bronson. - Uścisnęli sobie dłonie. - Miło się spotkać po takiej przerwie.

- To twoja nowa dziewczyna? - zapytał natychmiast Bronson. - Cieszę się, że nie rozpaczasz już po Julii.

Jed zauważył błysk zaciekawienia w oczach Gussy. Szybko się zreflektowała i przybrała obojętny wyraz twarzy.

- Gussy, to Steve Bronson. Graliśmy razem w jednej drużynie.

- Od trzech lat pasujemy. Wczesna emerytura.

- Bronson, to Gussy Fairchild, dziewczyna stąd. - Jed specjalnie unikał szczegółów, żeby odwrócić uwagę Bronsona. Nie chciał dalszych komentarzy na temat Julii. - Skąd się wziąłeś w Maine?

- Musiałem odpocząć po wizycie u rodziców Sue w Nowej Szkocji. Czekamy teraz na prom. Sue i mały Bronnie są tam. Karmią mewy. - Pomachał ręką żonie i synowi, którzy stali na nabrzeżu i rzucali kawałki chleba krążącym nad nimi ptakom. - We wrześniu wracam do Ottawy, trenować drużynę młodzików. Wygląda na to, że ty urządziłeś się trochę lepiej.

Bronson patrzył na Gussy, jakby była kawałkiem ciasta na wystawie.

- Pycha - powiedział z niekłamanym zachwytem.

- Ogród, który należy do rodziny Gussy...

- Chłopie! - przerwał mu Bronson. -I co ty byś robił z Julią? Niech Pierre się z nią męczy.

Zaskoczony Jed wpatrywał się w Bronsona.

- A więc jest teraz z Pierre'em? Właściwie mnie to nie dziwi.

- Zapomnij o niej! - Bronson zamachał rękami jak wiatrak.

Jed znieruchomiał, widząc, że Gussy włącza się do rozmowy. Oczekiwał najgorszego, tymczasem ona uśmiechnęła się do jego kolegi i zapytała:

- Wybieracie się państwo na wyspę Osprey? Nie przegapcie widoku z północno-wschodniego cypla. Jest wspaniały.

Potem opowiedziała o rezerwacie rybołowów i bagnach, na których rosną żurawiny. Przerwała dopiero wtedy, kiedy zawyły syreny promu i Bronson pognał galopem do trapu, wykrzykując po drodze słowa pożegnania.

No, teraz zacznie mnie maglować o Julię, pomyślał Jed.

Ale nie zaczęła, tylko spokojnie smarowała chleb masłem.

Zjadł łyżkę zupy, potem następną. Gussy podniosła do ust swój sok i uśmiechnęła się do Jeda znad szklanki.

- Julia Cole to moja była narzeczona - wyjąkał, wściekły na siebie.

Nie rozumiał, skąd wzięła się w nim potrzeba opowiedzenia całej tej żałosnej historii, która powinna dawno zginąć w mrokach niepamięci. Tylko że on wciąż do niej wracał myślami.

- I co się wydarzyło?

- Howitzer 0'Hallihan.

- Ten twój hokej musi być bardzo niebezpiecznym sportem.

- Życie jest niebezpieczne. - Wzruszył ramionami.

- Masz na myśli Julię? To takie słodkie imię.

Jed wiedział, co o tym myśleć, ale nie był pewny, czy chce odpowiadać.

- Czasami słodycz skrywa gorzki smak kryjący się w głębi. - Odsunął od siebie talerz z zupą. Nie mógł już jeść.

- O Boże - mruknęła Gussy. - Musiała nieźle zaleźć ci za skórę.

- Gussy! Jesteś najdziwniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Nie jesteś ciekawa, co się stało?

Udała całkowicie zaskoczoną.

- A ja miałam nadzieję, że spodoba ci się moje opanowanie. Przecież nie powinno się łączyć interesów ze sprawami osobistymi.

- Trafiony.

Dopiero teraz spojrzała mu głęboko w oczy.

- A więc opowiedz, co się stało po twoim bliższym spotkaniu z Howitzerem.

- Okazało się, że Julia o wiele bardziej woli słynnego zawodnika, który zarabia kupę szmalu, od kontuzjowanego eks--zawodnika, który musi znaleźć dla siebie nowe miejsce w życiu. Dzisiaj nie wiem, dlaczego mnie to tak zaskoczyło.

- Kto zerwał?

- Kiedy zwróciła mi pierścionek zaręczynowy, sam już chciałem zerwać. Trudno znieść sytuację, kiedy narzeczona przeczesuje całą drużynę w poszukiwaniu nowego frajera.

- Czy to znaczy, że Pierre też gra w hokeja?

- Julia postawiła na lepszego konia. Pierre ma superkontrakt, kluby wielbicieli i karty ze swoimi zdjęciami. Ale Pierre musi się pilnować, jeśli chce zatrzymać Julię przy sobie. Ona lubi facetów z pozycją.

Gussy patrzyła na niego z takim współczuciem, że miał ochotę wyć. Po co jej o tym opowiedział? Przeszedł swoje, ale

dał sobie radę. Nie musiał szukać pocieszenia u jakichś kochliwych panienek. A już na pewno powinien uważać, żeby nie poddać się ich słodkiemu urokowi.

Grając w hokeja, nauczył się, że nie wolno odsłaniać tyłów, żeby przeciwnik nie zaatakował cię od najmniej spodziewanej strony. Niestety, wszystko wskazywało na to, że Gussy wdarła się już na jego przedpole. Nie był tylko pewien, czy ona sama była tego świadoma.

Popatrzył na nią ukradkiem i napotkał spojrzenie aksamitnych, brązowych oczu, błyszczących jak czekolada roztopiona w słońcu.

- Andrews próbował ci wczoraj dokuczyć, mówiąc, że zajmowanie się ogrodami musi być bolesne dla kogoś, kto był znanym sportowcem. Nie żal ci czasem sławy?

- Nie... Sławy nie. - Zrobił krótką pauzę. - Żałuję tylko, że już nie gram. Było mi ciężko, bo zupełnie nagle musiałem przestać to robić. Ale rehabilitacja kolana trwała tak długo, że zdążyłem się z tym pogodzić. A ponieważ zawsze lubiłem ogrody i coś niecoś o nich wiedziałem... - wzruszył ramionami - jestem teraz tutaj.

- Ja jestem bardzo zadowolona, że znalazłeś się w Sheepshead Bay - powiedziała cicho Gussy.

Jed popatrzył na chmury, na szare fale rozpryskujące się o skały, na głęboką zieleń świerków na tle nieba i uśmiechnął się. Potem spojrzał na Gussy, która oparta podbródek na dłoniach i wpatrywała się w niego uważnie.

- Ja też - przyznał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kochliwa dziedziczka i spółka

To był ciężki tydzień. I bardzo długi. Przynajmniej dla Jeda.

Bo jeśli chodzi o Gussy, był prawie pewien, że każdego dnia bawiła się świetnie.

W każdym razie tak to wyglądało.

We wtorek pojawił się Andrews Lowell, żeby zabrać ją na lunch. Jed klęczał akurat za krzakiem bukszpanu, ucząc nowego sezonowego pomocnika, jak prawidłowo podcinać i formować szpalery, kiedy Gussy, uśmiechnięta i rozgadana, stanęła w progu domu. Rozejrzała się nawet, wyraźnie go szukając, ale nie miał zamiaru wyskakiwać z zarośli w przybrudzonym dresie i żebrać o mały uśmiech.

Andrews zaczął gadać coś o homarze, obiecując, że zjedzą go bez Felicji i Teda, po czym oboje odeszli w stronę parkingu.

We czwartek Marian Throckmorton przysłała po Jeda. Wybierała się na podwieczorek do modnej kawiarni i chciała, żeby wyprowadził rolls-royce'a na podjazd. Nie czuł się zirytowany, bowiem w cichości ducha liczył na to, że uda mu się zobaczyć Gussy. I nie przeliczył się.

Wyszła z domu tuż za babką, w szykownym słomianym kapelusiku na głowie. Początkowo go nie zauważyła, zajęta wciąganiem białych rękawiczek. Dopiero gdy otworzył drzwiczki z zamaszystym szykiem zawodowego kierowcy, podniosła

oczy. Mrugnął do niej z pełną premedytacją. Chciał zobaczyć, juk zareaguje.

Odwróciła się natychmiast, zaczerwieniona po uszy. Obiegła samochód i wsiadła z przeciwnej strony. Słychać było tylko chrzęst kamyczków i trzaśniecie drzwi. Nie zamienili nawet jednego słowa

Piątek był wyjątkowo upalny. Jed wrócił późno, gdyż doglądał układania nowego trawnika w ogrodzie Yanessy Van Pelt. Był ledwo żywy ze zmęczenia. Wyskoczył z samochodu i zdarł z siebie przepocony podkoszulek. Wtedy zauważył Gussy. Siedziała obok jakiegoś playboya w srebrzystoszarym sportowym kabriolecie, który musiał być wart co najmniej siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Przemknęli obok niego w takim pędzie, że grad kamyków zabębnił o jego furgonetkę, po czym zniknęli.

Jed cisnął podkoszulek do samochodu i zanim zdołał pomyśleć, co robi, pobiegł w stronę kamiennych schodów i przeskakując po kilka stopni naraz, zbiegł na plażę. Był wściekły. Pękała mu głowa i bolało całe ciało. A wszystko z powodu głupiej pannicy, która uganiała się po miasteczku ze swoimi adoratorami. Prychnął i wskoczył do oceanu. Może zimna woda pozwoli mu się pozbierać. Widział, że jest coraz mniej odporny na trujący wdzięk, który kochliwa dziedziczka roztacza wokół siebie.

W sobotę Jed specjalnie pracował przez cały ranek w ogrodzie nowego klienta. Kiedy tam jechał, mijały go sznury samochodów udających się dokładnie w przeciwnym kierunku - wszyscy wybierali się nad ocean oglądać regaty.

Jed zrobił, co mógł, żeby nie udzielił mu się świąteczny nastrój, który ogarnął całe miasteczko. Nie było to trudne. Wystarczyło, że wyobraził sobie Gussy sprzedającą w tej chwili lemoniadę tłumom swoich wielbicieli. Nie miał wątpliwości, że znowu zwodzi wszystkich swoją nieśmiałą minką i staroświeckim wyglądem.

Wytrzymał do południa. Było nie było, Gussy osobiście zaprosiła go do swojego stoiska. Opłukał się wodą z węża i wrócił do Sheepshead Bay.

Miasteczko pękało w szwach od turystów w najmodniejszych strojach plażowych i okularach przeciwsłonecznych za dwieście dolarów. W powietrzu krzyżowały się okrzyki zachwytu nad starymi domkami i krętymi uliczkami, wszędzie słychać było śmiechy i muzykę przerywaną od czasu do czasu komunikatami organizatorów regat. Pachniało prażoną kukurydzą, masłem, smażoną rybą i wodorostami.

Wzdłuż nabrzeża ustawiono stoiska ocienione markizami w białe i niebieskie pasy. Tam ruch był największy. Jed, pogryzając kanapkę z łososiem, minął namiot, w którym urządzono wystawę kwiatów. Wewnątrz zebrała się śmietanka towarzyska miejscowych pań, dowodzona przez Marian Throckmorton ubraną w jedwabną suknię w kwiatowe wzory, który to model stroju obowiązywał zresztą pozostałe damy.

Stoisko z napojami udekorowano gałęziami świeżo ściętej sosny. W powietrzu unosił się aromat żywicy. Oszronione dzbanki z sokami stały na ladzie, kusząc spragnionych klientów. Ale jeszcze bardziej kusząco wyglądała panna Augustyna Fairchild w białej bawełnianej sukience i bladożółtym swetrze zawiązanym na ramionach.

Jed oblizał wargi i poszedł do lady.

- Podać szklankę lemoniady? - zapytała Gussy jednym tchem.

Jed nie był pewien, czy to na jego widok zaświeciły się jej oczy, czy tylko to sobie wmówił. Spojrzał na napoje, a potem na szczerą buzię Gussy. Niemożliwe, żeby ta dziewczyna była podstępna i obłudna. Ale kto wie? Może była świetną aktorką?

- Poproszę o cały dzbanek. - Położył na ladzie banknot dwudziestodolarowy.

- Dzbanek?

- Mówiłem ci, że będę bardzo spragniony.

Przygryzła język. Potem energicznie potrząsnęła głową, a jej gruby warkocz rozhuśtał się na boki.

- Zacznij od jednej szklanki.

Wypił sok jednym haustem. Z uśmiechem napełniła szklankę jeszcze raz.

- Czy wypełniłaś już swoje zobowiązania wobec Towarzystwa Ogrodniczego? - zapytał, wycierając dłonią kropelki płynu, które spłynęły mu po brodzie.

- A dlaczego pytasz? - Spojrzała na niego z lekką trwogą.

- Żeby cię stąd zabrać, zanim pojawi się Andrews.

Zaśmiała się z uznaniem.

- Sally! - Odwróciła się do swojej towarzyszki. - Zastąpisz mnie?

- Jasne. - Dziewczyna z okrągłą, piegowatą buzią zmierzyła Jeda spojrzeniem od stóp do głów.

Gussy chwyciła malutką, wyszywaną torebkę i przewiesiła ją przez ramię. Jed dokończył drugą szklankę lemoniady po dziesięć dolarów każda, wziął Gussy za rękę i poszli.

To było cudowne. Cudowne i niepokojące zarazem. Żeby trzymać się za ręce z ogrodnikiem - coś takiego nie zdarzyło się jeszcze w rodzinie Throckmoitonów. A już na pewno nie na oczach wszystkich. Gussy niemal czuła przeszywające ją spojrzenia i słyszała w duchu plotki podawane sobie z ust do ust przez panie z kręgu znajomych Babki.

Trudno. Przecież ona nie należy do tego towarzystwa z własnego wyboru. To nie jej wina, że urodziła się w tej, a nie innej rodzinie. Gdyby miała chociaż trochę odwagi, pokazałaby tym nadętym snobom, że można robić to, na co ma się ochotę. A zresztą - dlaczego by nie? Wspięła się na palce i pocałowała Jeda w policzek.

Spojrzał na nią pociemniałymi w jednej chwili oczami, a ona zachichotała cicho.

- Skąd jest najlepszy widok na morze? - zapytał.

- Z werandy jachtklubu albo z nowego domu Teda i Felicji. - Machnęła ręką w kierunku wrzynającego się w morze cypla, na którym stała pretensjonalna, nowoczesna willa. - W jednym miejscu wpadniemy na Babkę, w drugim - na Andrewsa.

- Myślę, że mądrzej będzie uniknąć spotkania z obojgiem.

- Jest jeszcze mały zakątek wysoko na skale, ale trudno się tam wdrapać. Poza tym… - Przerwała, zawstydzona.

- Co?

- Miejscowa młodzież nazywa to miejsce macanką. Przynajmniej wieczorami.

- Brzmi nieźle.

Uniosła brwi, trochę zgorszona.

- Mówię o widoku, nie o tym drugim - uspokoił ją, rozbawiony reakcją.

- Oczywiście - zgodziła się. - Jesteśmy za starzy na takie rzeczy. Wyobrażam sobie, że w nocy na skałach jest zimno i strasznie niewygodnie.

- Wiesz to z własnego doświadczenia? - zapytał Jed ot, tak sobie, przyglądając się z uwagą żaglówkom.

Nie mogła się nie uśmiechnąć. Prawdopodobieństwo, że któryś z miejscowych chłopaków zaprosi na skały nieciekawą młodszą siostrę April, było naprawdę bliskie zeru.

Jednak Jed inaczej zinterpretował jej uśmiech.

- Chodźmy - rzucił sucho i odwrócił się na pięcie, żeby nie zauważyła, że go to zabolało.

- Nie tędy! - Pociągnęła go w przeciwną stronę.

I tak trzymając się za ręce, przedefilowali przed czujnym wzrokiem pań z Kościoła Episkopalnego prezentujących damskie robótki. Minęli także szeroko otwarte wejście do namiotu

z kwiatami, ale żadne z nich nie miało odwagi sprawdzić, czy widzi ich Marian Throckmorton.

Gussy poprowadziła Jeda wybrukowaną alejką przez targ rybny do podnóża przybrzeżnych skał, gdzie wąska ścieżka pięła się ostro w górę, by w końcu doprowadzić ich do szeregu niewielkich tarasów na samym szczycie.

- Tędy - powiedziała i nie zwracając uwagi na biały strój, zsunęła się na pupie do niewielkiej niszy, która skutecznie chroniła od wiatru, a równocześnie była doskonałym punktem obserwacyjnym.

W dole najmniejsze żaglówki przygotowywały się do ostatniego startu w wyścigach.

- Ślicznie tu - powiedział Jed.

- Uhm. Kiedyś przychodziłam tu bardzo często. Podczas odpływu można stąd zejść aż do morza, natykając się na mnóstwo stawików pochowanych wśród kamieni. Po drodze jest też mała grota, w której mimo ciemności kwitną anemony. To cudowne miejsce. Trochę straszne i tajemnicze, ale piękne.

Jed patrzył, jak wiatr rozwiewa jej kosmyki włosów, które wysunęły się z warkocza. Z błyszczącymi oczami i policzkami zarumienionymi od wspinaczki wcale nie wyglądała na *femme fatale*. Jaka naprawdę jest ta kobieta? Milczał, wsłuchując się w szum fal rozbijających się o brzeg, w bicie własnego serca i wewnętrzny głos, który mówił mu, że tęskni za nią. Ona też się nie odzywała.

W końcu oboje przemówili naraz.

- Gdzie masz okulary? - zapytał.

- Jak ci idą interesy?

Roześmiali się oboje.

- Włożyłam szklą kontaktowe. Czasami je noszę.

- Nieźle, chociaż wciąż jeszcze nie stać mnie na pomocnika na cały etat.

- Powinieneś zatrudnić mnie - powiedziała żartobliwym tonem. - Jestem uczciwa i odpowiedzialna. Nie żądam wysokiej pensji. To jedyny plus mieszkania z dziadkami.

- Czy kiedykolwiek w życiu pracowałaś? - zapytał.

To dała o sobie znać pragmatyczna strona jego natury. Jed wierzył bowiem, że nie należy ulegać sentymentom, ale kierować się rozsądkiem.

Gussy opuściła głowę na kolana i palcami kreśliła wzory na skale.

- Podczas studiów miałam praktyki w ogrodach Collingswood. Potem pracowałam tu i tam, ale jako wolontariuszka. W Sheepshead Bay zebrałam grupę fachowców i zaprojektowaliśmy park miejski.

Pocierała kciukiem kawałek białego kwarcu, który wystawał ze skały. Potem zmarszczyła brwi.

- Nie jest to zbyt imponujący dorobek - dodała i zamilkła.

Jed nie chciał, żeby przez niego czuła się bezużyteczna. Przecież nie musi pracować, skoro jest taka bogata.

- Wszystko, co się robi, jest ważne. Naprawdę tak myślę, Gussy.

- A jednak milej jest dostawać co miesiąc pensję.

- Pewnie. Gdybyś kiedyś zdecydowała się na stałą pracę, byłabyś niezależna. I tyle.

Spojrzała na niego z nadzieją w oczach.

- Przepraszam. - Poklepał ją po ramieniu. - Na razie nikogo nie zatrudniam.

Wyprostowała się i odrzuciła warkocz na plecy

- Jed! Nie przepraszaj. Nie mówiłam tego serio. Przecież i tak jestem ciągle zajęta. Mam mnóstwo rodzinnych zobowiązań, i...

- ... i życie towarzyskie.

- Właśnie - zaśmiała się ze sztuczną wesołością. - Nie mam

już gdzie upychać kolejnych zaproszeń na przejażdżki żaglówką, kolacje, partie golfa i potańcówki.

- Taaa. Zauważyłem.

- I lada chwila się zaręczę.

Jed poczuł nagły ucisk w gardle.

- Naprawdę? - zapytał sucho.

Energicznie pokiwała głową.

- I kto jest szczęśliwym wybrańcem? Andrews?

- Może on. A może Billy albo Peter Gilmore.

- Albo ten playboy od srebrzystego kabrioletu, który o mało nie rozwalił cię na drzewie.

- Edward Peasport HI - dorzuciła poważnie. - Nie, nie sądzę, żebym miała wybrać Edwarda.

- No, to gratuluję zdrowego rozsądku.

Gussy wywołała z pamięci sylwetkę Jeda, który przyglądał się jej wariackiej przejażdżce z Edwardem. Przymknęła oczy. Zobaczyła go obnażonego do pasa i błyszczącego od potu. Na widok skumulowanej męskiej siły odezwało się w niej pragnienie, intensywne do granicy bólu. I Edward natychmiast stracił wszelkie szanse, o ile wcześniej je miał.

Westchnęła. Dlaczego kłamała Jedowi? Nigdy dotąd jej zaręczyny nie były tak mało prawdopodobne jak teraz. Z jakiego powodu? To proste. Powód siedział teraz obok niej i nazywał się Jed Kelley.

Gussy nie mogła skupić się na regatach.

Żaden ze znanych mężczyzn nie wzbudzał w niej podobnie intensywnych i różnorodnych reakcji. Była pewna, że Jed jest nią także zainteresowany - wystarczyło przypomnieć sobie, jak odpowiedział na jej pocałunek. Wystarczyło przypomnieć sobie elektryzujące spojrzenia jego błękitnych oczu.

Nawet najbardziej naiwna dziewczyna zrozumiałaby jego intencje.

I tu tkwił problem. Gussy bała się szaleńczego romansu. Duch Throckmortonów podpowiadał jej, że byłoby to wysoce niestosowne. Z drugiej strony sama wiedziała, że jeśli zdobędzie się na coś podobnego, zdobędzie się na wszystko. Ale straci oparcie w rodzinie.

Pociągał ją pomysł, żeby stać się samodzielną kobietą, która bierze w ręce własny los.

A jednak nie... Bała się. To zbyt wielkie ryzyko. Zadrżała.

- Zimno ci? - Jed objął ją ramieniem.

- Tak - mruknęła. Nie szkodzi trochę skłamać, żeby poczuć się bezpiecznie w jego uścisku.

Jed oparł się o skałę i przyciągnął Gussy do siebie. Podniosła oczy i delikatnie przesunęła dłonią po jego twarzy. Gwałtownym ruchem przycisnął jej rękę do ust. Opuszkami palców pieściła jego policzki. On chwycił obie jej dłonie i ukrył w nich głowę, powtarzając raz po raz jej imię w taki sposób, że dreszcz przeszył ją od stóp do głów.

- Jed... - Przytuliła się do niego mocniej i rozchyliła usta.

- Twoje dłonie... - szepnął. - Doprowadzasz mnie do szału. Chciałbym je czuć wszędzie.

- Moje dłonie? - zdziwiła się.

Przecież to jego dotyk ją inspirował, uskrzydlał, podniecał. Był pewny i mocny. Dotyk mężczyzny, który wie, co robi. Zamknęła oczy i dotknęła czołem jego czoła.

- Impuls - szepnęła.

- Impuls - powtórzył i głośno przełknął ślinę. - Nagły. Nie przemyślany.

Wyprostował się nagle.

- Co robisz? - Gussy ogarnięta pragnieniem nie chciała dłużej czekać.

- Daj mi minutę. Spróbuję się pozbierać.

- Ale, Jed...

Zrzucił z karku jej ręce i podniósł się raptownie.

- Ale... - powtórzyła bezradnie.

Znowu to samo. Skuliła się, czując, jak zimny podmuch morskiego powietrza kradnie ciepło jego ciała, które czuła na sobie.

- Przypominam ci, że masz zamiar się zaręczyć. To nie czas, żeby poddawać się impulsom, nawet jeśli nie wybrałaś jeszcze odpowiedniego kandydata.

- Masz r.. .rację - wyjąkała.

Cóż innego mogła powiedzieć?

- Ja nie staję do tego wyścigu - warknął.

Złapała się we własne sidła. I po co kłamała?

Nawet teraz, kiedy Jed powiedział wprost, że nie zamierza ubiegać się o jej względy, Gussy nie mogła się powstrzymać. Przez cały następny tydzień śledziła zza firanki każdy jego ruch, obserwowała, jak pracuje w ogrodzie.

Teraz, korzystając z jego nieobecności, postanowiła wślizgnąć się do wozowni i ożywić jego pokój bukietem, który ułożyła specjalnie dla niego.

Tego wieczora wybierała się na bal do klubu jachtowego. Miała już na sobie wieczorową suknię - ekstrawagancką kreację z ciemnoniebieskiego szyfonu, z dopasowaną górą i króciutką spódnicą składającą się z kilku warstw tafty i tiulu, sterczących na boki jak u baletnicy. Stroju dopełniała granatowa wstążka we włosach i granatowe szpilki na bardzo wysokich obcasach.

Istna lalka Barbie, prychnęła, wchodząc na schody do mieszkania Jeda. Na podeście zatrzymała się i na wszelki wypadek zawołała go po imieniu, żeby zasygnalizować swoją obecność.

W pokoju panował nieład. Książki, sportowe magazyny, zdjęcia... Zaglądała we wszystkie kąty, chcąc dowiedzieć się o nim jak najwięcej. *Dzieła zebrane* Hemingwaya - to zrozu-

miałe, ale *Rozważna i romantyczna* Jane Austen? Bardzo dziwne. A ta ohydna pomarańczowa poduszka z kaktusem na tle zachodzącego słońca i napisem „Pozdrowienia z Arizony"? Jakim cudem można kupić coś tak szpetnego?

Wiedziała, że zachowuje się głupio i niegrzecznie, ale nie mogła się opanować. Przesunęła drżącą ręką po wytartej poduszce na fotelu.

W tym momencie na schodach rozległy się lekkie kroki. Zesztywniała.

Odwróciła się do drzwi, przygotowując usprawiedliwienie, ale równocześnie dała się ogarnąć fali podniecenia. Może kwiaty były pretekstem dla niej samej? Może jest już gotowa na romans?

I wtedy do pokoju wbiegł Percy.

Gussy otrzeźwiała. Uklękła na podłodze i zaplątana w falbanki sukni objęła psa.

- Percy! Nie wiem, co robić. Zakochałam się w Jedzie Kelleyu. I bardzo go pragnę - westchnęła.

Siedziba jachtklubu w Sheepshead Bay mieściła się w starym budynku, na którym tu i tam widać było ślady dawnej świetności. Cedrowe gonty popękały od słonego powietrza i morskich wiatrów, staroświeckie okiennice otwierały się same i podczas sztormów hałasowały jak kastaniety. Wszystkie werandy, balkony i tarasy trzeszczały niemiłosiernie, grożąc, że pewnego dnia cała budowla zjedzie do oceanu i odpłynie w dal.

Na terenie klubu znajdowały się także: mały park, korty tenisowe i letni pawilon, w którym dzisiaj miał odbyć się bal.

Pawilon zbudowany na początku wieku z wielkich cedrowych pni trzymał się nadzwyczaj dobrze. Pociemniałe na ciemnozłoty kolor kolumny, podtrzymujące stożkowaty dach,

wciąż pachniały żywicą, a ażurowe ściany nie straciły dawnej urody.

W takim miejscu dziewczyna mogła poczuć się jak księżniczka, o ile oczywiście warunki, kreacja, fryzura i partner na to pozwolą.

Ale Gussy nie czuła się jak księżniczka. Czego można się spodziewać, podskakując z Andrewsem w rytm fokstrota, sztywno i bez fantazji, jak na szkolnej zabawie. Na domiar złego nowe pantofle okazały się za ciasne i na prawej pięcie zrobił się jej bolesny pęcherz. Była pewna, że podczas każdego obrotu widać jej majtki, i czuła się coraz bardziej nieswojo.

Nawet pojawienie się Petera Gilmore'a nie poprawiło sytuacji. Peter był miły, ale interesowały go wyłącznie zaloty kormoranów, a nie ludzi. Po kilku tańcach odprowadził ją na bok. Mruknął przepraszająco, że koniecznie musi wstać o świcie razem z ptakami, i ulotnił się dyskretnie z klubu.

Gussy nie przejmowała się tym zbytnio. Nigdy nie zdarzyło się, żeby została królową balu. Była raczej przyzwyczajona do podpierania ścian. Stanęła przy balustradzie i patrzyła na zatokę. Niestety, nie upłynęło pięć minut, jak pojawił się Billy Tuttle z jakimś kuzynem, którego Gussy poznała kiedyś przelotnie. Nie ucieszyłaby się, nawet gdyby panowie przyszli z własnej woli. To spotkanie zostało jednak ukartowane przez Babkę i Alicję Tuttle. Wcześniej tego wieczoru Gussy przyłapała obie panie na pracowitych konsultacjach.

Billy objął ją tak mocno, że wyczuła butelkę w kieszonce jego marynarki. Krążyli po zatłoczonym parkiecie z szybkością co najmniej dwa razy taką, co reszta par. W najdalszym i najciemniejszym kącie Billy przystanął i przycisnął ją do filara. Tym razem mogła powiedzieć, jaki kształt ma butelka w jego kieszeni.

- No, no, Gussy! - W jego oddechu czuć było co najmniej

kilkanaście procent alkoholu. - Nie zauważyłem wcześniej, że taka z ciebie wspaniała laska.

- Dziękuję za komplement.

Billy nie wyczuł ironii w jej głosie.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy się teraz zaokrętowali na pokładzie mojej łódki? - Pogłaskał ją po plecach. - Na wodzie jest miło i ciemno, a także pusto.

Gussy przekręciła głowę, żeby nie upić się oddechem Billa.

- Nie przywiozłeś na ten weekend żadnej ze swoich dziewczyn?

- Pani starsza odmówiła przyjmowania moich gości. W barze cofnęli mi kredyt. - Billy zgrabnie przesunął ręce na jej piersi. - Zostałaś mi tylko ty.

- Nic podobnego - odezwał się męski głos za jego plecami.

Billy odwrócił głowę.

- Co jest? - wybełkotał.

Teren poza pawilonem nie był oświedony i w ciemności rysowała się jedynie sylwetka wysokiego mężczyzny, ale Billy i tak zwolnił uścisk na tyle, że Gussy wyrwała się i odskoczyła na bok.

- Jed? - spytała, wyglądając przez poręcz.

Serce biło jej tak mocno, że mogło zagłuszyć pytanie. To rzeczywiście był Jed, ale taki, jakiego jeszcze nie znała. Nawet elegancki, szyty na miarę garnitur nie był w stanie ukryć jego zwierzęcej siły. Podszedł bliżej, zaciskając pięści. Billy natychmiast odsunął się kilka kroków w tył.

- Znam cię - powiedział. - To ty byłeś w oranżerii u Throckmortonów. Nazywasz się... nazywasz się...

- CKM Kelley - mruknęła Gussy.

Już wiedziała, skąd wzięło się to przezwisko. Na lodowisku Jed musiał naprawdę przypominać ciężki karabin maszynowy.

Wyobraziła sobie jak porażał przeciwników swoją kontrolowa-

na sila.- Nie żądam od ciebie, żebyś znał moje personalia.
- Jed zgrabnym ruchem przeskoczył poręcz. - Zabraniam ci natomiast zaczepiać Gussy.

- Dobrze, już dobrze. - Billy rozejrzał się trwożliwie dookoła. - Po pierwsze, to nie był mój pomysł...

Gussy zagryzła wargi. Wiedziała, że ten prymityw powie **zaraz,** że babcia zmusiła go do randki.

- Chyba nie jesteś na tyle głupi, żeby twierdzić, że to ona chciała się z tobą umówić! - przerwał Jed.

- Nie - mruknął Billy i nie spuszczając wzroku z Jeda, zaczął powoli się wycofywać.

- Cześć, śliczna - rzucił niedbałym tonem, kiedy poczuł, że **jest** już bezpieczny.

Jed parsknął jak rozwścieczony byk.

- Z miłymi facetami się umawiasz.

Gussy znalazła się między młotem a kowadłem. Za nic nie chciała wyjaśniać, że to obie babki zetknęły ją z Billym.

- Czasami bywa zabawny - mruknęła zdawkowo.

- Szczególnie wtedy, kiedy pcha ci łapska pod sukienkę.

- Przecież tego nie robił.

Zamilkła. Nie warto było sprzeczać się o szczegóły. Generalnie Jed miał rację.

- Dałabym sobie radę sama.

- W porządku. Następnym razem nie będę się wtrącać. - Jed odwrócił się na pięcie. - Cześć, piękna.

Dziwne, zauważyła Gussy. W ustach Jeda zabrzmiało to dużo lepiej. Szkoda, że odchodził. Sama przepędziła swojego księcia z bajki. Ale może jeszcze nie wszystko stracone.

- Jed! - zrobiła kokieteryjną minę. - Chyba nie masz zamiaru odejść, nie zatańczywszy ze mną chociaż raz?

- Nie zauważyłem, żeby brakowało ci partnerów.

A więc obserwował ją! To cudownie.

- Teraz, kiedy wystraszyłeś ich wszystkich, będę podpierać ściany - skrzywiła się płaczliwie.

- Nigdy w życiu nie podpierałaś ścian - mruknął, wracając. - Dobrze znam dziewczyny takie jak ty.

Jak ty mało o mnie wiesz, Jed, pomyślała. Masz o mnie całkowicie mylne wyobrażenie. Nie zamierzała jednak wyprowadzać go z błędu. Być może lubi wampy?

Orkiestra zagrała *Moon River*, a oni zaczęli tańczyć. Nic nie mówili. Ich ciała odnalazły natychmiast wspólny rytm. Z nikim jeszcze nie tańczyło się jej tak wspaniale.

Nagle poczuła się jak księżniczka. Najważniejsza na całym balu. Za plecami słyszała szepty. Łapała zdziwione spojrzenia innych tancerzy. Z pewnością nikt nie wiedział, kim jest ten przystojny nieznajomy. No, może z wyjątkiem Vanessy Van Pelt, która dzisiaj dla odmiany bawiła się z własnym mężem.

Gussy nie miała wątpliwości, że ktoś usłużnie opowie o wszystkim Babce i w domu podniosą się protesty. W ich sferach nie uchodziło bawić się z ogrodnikami. Chyba że był to ktoś tak uznany jak Jellicoe.

Nieważne. Zmierzy się z tym jutro. Ale dzisiejszy wieczór należy do niej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pierwsze kroki

I wtedy pojawił się Andrews i odbił ją Jedowi.

Gussy zamknęła oczy. Bardzo mocno. Nie chciała, żeby to się skończyło. Nie teraz.

- Czekam na ciebie pod masztem flagowym - usłyszała tszept Jeda, który wypuścił ją z objęć i żartobliwie zasalutował Andrewsowi.

Potem zniknął w tłumie.

- Jakim cudem on się tutaj znalazł? - Zaciśnięte usta Andrewsa przypominały cienką kreskę.

- O czym ty mówisz? - Gussy otworzyła szeroko oczy.

- Przecież to tylko ogrodnik.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Gussy zesztywniała, kiedy Andrews objął ją ramieniem i zaczął tańczyć. Wydawało się, że orkiestra nagle zaczęła fałszować.

- Tylko dlatego, że zajmował się zawodowo sportem, wydaje mu się, że jest kimś sławnym.

- Jesteś zazdrosny! O mnie?

- Wiesz, jesteś przecież moją... moją dziewczyną. - Andrews najpierw pobladł, potem się zaczerwienił, żeby w końcu z wielkim trudem dać wyraz swoim emocjom. - Zawsze byłaś. Myślałem, że to zrozumiałe samo przez się - dokończył.

Gussy była zdumiona. Zawsze -jeśli nie liczyć zbliżenia na pokładzie żaglówki dziewięć lat temu - łączyły ich czysto ko-

leżeńskie stosunki, oparte na oczywistym i bardzo wygodnym przeświadczeniu, że znają się od wieków. Dopiero ostatnio Andrews zaczął zachowywać się bardziej romantycznie, co z całą pewnością wiązało się z nagabywaniami Babki Throckmorton.

- Nasze rodziny - ciągnął Andrews - bardzo sprzyjają tej znajomości. Myślę, że pasujemy do siebie. - Musiał chyba zauważyć pełną wątpliwości minę Gussy, bo przerwał. - Nie sądzisz?

- Andrews... ja… - Wysunęła się z jego ramion i spojrzała mu w oczy.

Nie chciała robić mu przykrości. Nie zasłużył na nie. A jednak z całą ostrością uświadomiła sobie, że nigdy za niego nie wyjdzie, nawet jeśli cała rodzina będzie ją do tego zmuszać.

- Nie, nie sądzę - szepnęła i uciekła, jakby gonili ją wszyscy Lowellowie i Throckmortonowie razem wzięci.

Jed czekał pod masztem już prawie dwadzieścia minut. Z pawilonu dobiegały go dźwięki muzyki. Co chwila jakaś zakochana para przemykała się w ciemnościach, szukając ustronnego miejsca w parku. Tylko niespodziewane westchnienia lub ciche chichoty zdradzały ich kryjówki.

Czuł się nieswojo. Wydawało mu się, że wszyscy go widzą. Pięć minut później zdecydował, że nie będzie dłużej czekać. Już miał odchodzić, kiedy zauważył Gussy, która z butami w ręku i rozczochranymi włosami kuśtykała w stronę parkingu.

- Wychodzisz beze mnie? - spytał, kiedy ją dogonił.

Skuliła się i przystanęła, nie patrząc mu w oczy.

- Przepraszam, Jed - powiedziała bezbarwnym głosem. Wszyscy oczekują ode mnie czegoś, czego ja nie chcę robić. I boję się, że w końcu im ulegnę, bo nie mam siły odmówić.

Przerwała i złapała go za rękaw koszuli.

- Czy masz tu swoją ciężarówkę? Musisz mieć! Odwieź

mnie do domu, proszę. Nie myślę, żeby o tej porze udało mi się złapać taksówkę. W całym Sheepshead Bay są tylko dwie. To smieszne, prawda? Tylko dwie taksówki...

- Gussy, uspokój się! - Jed niemal siłą oderwał jej zimne palce od swojego rękawa.

Wybuchnęła nerwowym śmieszkiem, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do samochodu.

- Gussy, co się stało? - zapytał zaniepokojony, widząc jej pogniecioną i wilgotną sukienkę, mokre kosmyki włosów i pozbawioną wyrazu twarz. - Chyba Billy nie próbował...

- Nie, nie. Siedziałam na skałach, i tyle. Przepraszam, że o tobie zapomniałam. To znaczy, nie zapomniałam, ale nie mogłam... A właściwie nie byłam w nastroju...

Zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona.

- W porządku. Nie musisz się tłumaczyć - powiedział ostrzej, niż chciał, i usiadł za kierownicą. - Zawiozę cię prosto do domu.

- Jestem beznadziejna - mruknęła, otulając się marynarką. - Nawet nie umiem sama pokierować swoim życiem.

Jed wyjechał z klubu i przez chwilę zastanawiał się, co robić.

- Wiesz, czego ci potrzeba? - zapytał po chwili.

- Wiem. Kręgosłupa.

Poklepał ją po ręce.

- Może jutro. Teraz powinnaś zjeść coś ciepłego.

- Zjeść coś ciepłego? - powtórzyła, ożywiając się leciutko.

- Jasne. Coś pożywnego.

- Ale nie płatki owsiane? - zaśmiała się krótko. - Babka zawsze mówi, że owsianka jest pożywna.

- Nie płatki owsiane - zgodził się i pojechał na skraj miasteczka, gdzie mieścił się jedyny w okolicy bar serwujący hamburgery.

Zatrzymali się pod wielkim różowym neonem z migającym

słowem „Pycha!" Jed wrócił po chwili z ciepłymi bułkami z bekonem i serem, domowymi frytkami i dwoma kubkami truskawkowego mleka. Kiedy wszystko zjedli, Gussy z elegancką precyzją wytarta usta papierową serwetką i zaraz potem oblizała tłuste palce, niszcząc w jednej chwili swój wizerunek wytwornej damy.

- Naprawdę smaczne - powiedziała.

- Odżyłaś trochę?

Zakłopotana patrzyła przez okno.

- Chyba trochę straciłam głowę.

- Owszem. - Jed uznał, że można się już z nią podroczyć. - Troszeczkę.

- No, dobrze! - Wzniosła oczy do góry. - Miałam lekki kryzys. Straciłam wiarę w siebie.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie. Wolę porozmawiać o Arizonie.

- Cooo? - Jed omal nie wypuścił z rąk papierowych tacek i tłustych papierów, które akurat sprzątał.

- W Arizonie nie ma drużyny hokejowej, prawda?

- Nie ma.

- Twoi rodzice tam się przeprowadzili?

- Nie. - Nadal niczego nie rozumiał. - Ale w Arizonie mieszka moja starsza siostra Laurie z rodziną.

- Rozumiem! Stąd te pamiątki... - Gussy była uszczęśliwiona, że rozwiązała tajemnicę jaskrawej poduszki w jego salonie.

Jed wciąż patrzył na nią zdumiony.

- Pamiątki? Chyba nie mam... Aha. Mam poduszkę. I wieszak na papier toaletowy w kształcie wyjącego kojota. Jak również kaktus z makaronu, który mój siostrzeniec zrobił dla mnie w przedszkolu.

Gussy nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Jed! Masz straszny gust. Ale człowiek odżywa, widząc

takie rzeczy w moim domu, gdzie wszystko jest takie sztywne i wytworne.

- Cała zasługa, albo jeśli wolisz, wina, spada na Laurie. Umówiliśmy się, że na Boże Narodzenie dajemy sobie najbardziej kiczowate prezenty, jakie uda się nam znaleźć. Warunek jest jeden - nie wolno ich wyrzucać. Kiedy przejdziemy na emeryturę, zrobimy wielką loterię i będziemy żyć z zysków.

- A co ty dałeś siostrze?

- Podróżując z drużyną, zawsze udawało mi się trafić na coś naprawdę ohydnego. Kiedyś w Calgary kupiłem jej deskę klozetową z drutu kolczastego. Ostatnio pięknie zapakowałem mój gips. Pełno było na nim rysunków i nieprzyzwoitych żartów, wypisywanych przez kolegów. Wiesz, od hokeistów nie można oczekiwać zbytniego wyrafinowania.

Gussy o mało nie udławiła się ze śmiechu.

- Nigdy nie chcę wymieniać się z tobą prezentami - oświad-

czyła. Poczuła się zdecydowanie lepiej. Oparta wygodnie słuchała Opowieści o rodzinie Jeda i jego przygodach z dzieciństwa. Nie chciało się jej wychodzić z samochodu, kiedy dojechali w końcu pod jej dom.

- Włożysz buty, czy wolisz, żebym cię przeniósł? - zapytał Jed, spoglądając na jasno oświetlony portal.

- Dam sobie radę. - Krzywiąc się z bólu, wcisnęła szpilki na odparzone stopy, ale nie spieszyła się z wysiadaniem. - Powiedz mi, czy zawsze chciałeś grać w hokeja, czy to był przypadek?

- Zawsze lubiłem sport. Musiałem oczywiście trenować, ale wszystko przychodziło mi dość łatwo. Hokej też.

- Też chciałabym mieć jakiś talent. Wiedzieć, że robię to, co lubię, i robić to dobrze. A ja po prostu płynę bezwładnie i daję się popychać tam, gdzie chcą inni. Nie mam siły ani odwagi, żeby robić coś zgodnie z własnymi przekonaniami.

- Nigdy nie jest za późno, Gussy.

- Mam już prawie dwadzieścia pięć lat. Babka mówi, że powinnam jak najszybciej znaleźć męża, bo sprzątną mi sprzed nosa wszystkich dobrych kandydatów.

Jed zabębnił palcami o kierownicę. Irytowało go, że Gussy traktuje małżeństwo jak towar, który bierze się z półki. Wróciła pamięć tego, co powiedziała na skale.

- Czyżbyśmy żyli w dziewiętnastym, a nie w dwudziestym wieku?

- Czyżbyś uwierzył, że jestem kobietą, nie myszą?

Powędrował wzrokiem tam, gdzie pod wilgotną sukienką rysowały się jej piersi ze sterczącymi guziczkami brodawek.

- Z mojego punktu widzenia, maleńka, to pytanie jest zupełnie pozbawione sensu.

Zauważyła jego spojrzenie i otuliła się szczelniej marynarką.

- To była przenośnia, oczywiście. - Wyprostowała się.

Lubił wyraz urażonej niewinności na jej twarzy. Ta mina wydawała się najzupełniej szczera, co było dziwne u takiej flirciary, ale Jed miał ochotę urazić jej niewinność jeszcze bardziej. T y l k o po co, skoro uważał, że Gussy i tak swoje wie…

A jednak nie mógł się powstrzymać i małym palcem przesunął po jej udzie, dokładnie tam, gdzie kończyła się sukienka. Rozległ się szelest tiulu. Obserwował spod oka twarz Gussy, nagle napiętą i czujną.

- Niektórzy ludzie łatwiej odnajdują swoje miejsce w życiu. Inni muszą nad tym popracować... - Dotarł do wewnętrznej części jej uda. - Myślę, że twój problem wziął się stąd, że nie planowałaś żadnego wysiłku. Wszystko miało przyjść samo.

Gussy zacisnęła uda, jakby dopiero teraz zauważyła, co robi Jed. Przez chwilę siedział bez ruchu, z ręką uwięzioną pomiędzy dwoma warstwami atłasowej skóry. Nie miał nic przeciw temu,

żeby tak trwać, ale Gussy odsunęła się gwałtownie i naciągnęła na kolana pogniecione falbanki sukni.

Zaśmiał się lekko i odsunął na miejsce, nie okazując, jak mocno jest poruszony.

- Lepiej sobie pójdę - odezwała się Gussy drżącym głosem.

Potem niespodziewanie pochyliła się i ucałowała go w policzek. Zrobiła to tak szybko, że nie zdążył podsunąć jej ust. I tak zmarnowała się zupełnie obiecująca inicjatywa.

Chciał pomóc jej wyjść z samochodu, ale go powstrzymała.

- Dziękuję za wszystko. To znaczy, za odwiezienie mnie do domu - dodała szybko, zaczerwieniona po uszy. - Za hamburgery i marynarkę. Oraz za rozmowę. Pomyślę o tym, co mi powiedziałeś.

Zatrzasnęła drzwi, ale zaraz znowu je otworzyła, żeby oddać mu marynarkę.

- Dobranoc - powiedziała poważnym tonem grzecznej dziewczynki i drobnymi krokami weszła po schodach.

Kiedy wyciągała rękę do klamki, drzwi otworzyły się i Thwaite ze złośliwym uśmieszkiem wpuścił ją do środka. Odjeżdżając, Jed zastanawiał się, czy lokaj ma wpisaną w kontrakcie dwudziestoczterogodzinną służbę przy wejściu, czy po prostu szpieguje z czystej potrzeby szpiegowania.

Kilkanaście dni później w domu Throckmortonów odbywało się zebranie Towarzystwa Ogrodniczego. Gussy była najmłodszą członkinią Towarzystwa od trzydziestu lat.

Wprawdzie do grupy należało jeszcze kilka stosunkowo młodych mężatek, ale wszystkie one zdołały wymyślić przeróżne wymówki, dzięki którym mogły spędzić południe, opalając się, żeglując lub po prostu robiąc zakupy. Wszystko było lepsze od rozważań, jak spożytkować zyski ze sprzedaży lemoniady.

Widząc, że zapowiada się długa dyskusja, Marian Throck-

morton zaproponowała przełożenie jej do czasu następnego zebrania. Thwaite z niewzruszonym spokojem oznajmił, że podano lunch, i panie z wyraźną ulgą przeszły z biblioteki na taras, gdzie nakryto trzy okrągłe stoły. Kryształy i srebra lśniły w słońcu. Zachwytom nie było końca.

Tematy poruszane podczas lunchu dotyczyły pogody (świetnej), wina (wybornego), kurczaka w kruchym cieście (Marian obiecała przekazać gratulacje swojemu szefowi kuchni, ale nie kwapiła się z przedstawieniem Godfreya paniom) oraz wnuków (cudownych).

Gussy z trudem tłumiła ziewanie. Postanowiła skorzystać z zamieszania, które wybuchło na tarasie, kiedy Thwaite wtoczył wózek z deserami, i wstała pod pozorem, że chce dolać sobie wody. Była już przy drzwiach do domu, kiedy na jej drodze pojawił się Thwaite z pełnym dzbankiem i zablokował wyjście.

Podziękowała mu przez zaciśnięte zęby. Zauważyła, że lokaj i Babka wymienili znaczące spojrzenia.

Powoli krążyła po tarasie, czekając, aż Thwaite zacznie serwować tort beżowy z masą cytrynową, co da jej okazję ucieczki do ogrodu. Tym razem udało się. Gussy westchnęła z ulgą i usiadła na ławce w gęstwinie ogrodu różanego. Bezmyślnie bawiła się kieliszkiem, zła na siebie, że chyłkiem ucieka od nieszkodliwych starszych pań, zamiast otwarcie się z nimi pożegnać. Cała ona!

A przecież nie dalej jak dwa tygodnie temu postanowiła rozpocząć nowe życie. I co? Poza tym, że pojawił się Jed, nic się nie zmieniło. Wciąż była przywiązana do tego samego, nudnego miejsca, wykonywała te same, monotonne czynności i czuła tę samą duszącą niemoc.

Przymknęła oczy. Nic się nie-zmieniło? Nieprawda.

Dzięki Jedowi zrozumiała, że nie musi koniecznie wiązać się z Andrewsem. To Jed uświadomił jej, że można robić w życiu inne rzeczy, nie tylko wychodzić za mąż. Co więcej - gdyby

Jed jej nie pocałował, na zawsze pozostałaby w przekonaniu, że namiętność istnieje tylko w literaturze.

Gdyby nie Jed, mogłaby nigdy w życiu się nie zakochać!

Krzaki róż zaszeleściły głośno. Pewnie wiatr. Gussy otworzyła oczy, ale od morza nie dochodził nawet najmniejszy podmuch. Dziwne. Krzaki w kącie zatrzeszczały jeszcze mocniej. Jeśli to Thwaite ją szpieguje, pomyślała ze złością, to…

- Psst! - usłyszała szept.

To nie był Thwaite. Odstawiła kieliszek na ławkę i rozejrzała dokoła.

- Gussy! Tu jestem.

Zza obrośniętej winem werandy wyjrzał Jed.

- Jed! Co ty robisz? Jesteś naszym ogrodnikiem i naprawdę nie musisz chować się po kątach.

- Wolałbym nie wpaść w oczy twojej babce. - Rzucił ostrożne spojrzenie w kierunku tarasu, skąd dochodził gwar kobiecych głosów. - Ona chce, żebym wygłosił wyldad dla tych kobiet, które jak jeden mąż wierzą, że Jellicoe jest bogiem, a każde wypowiedziane przez niego słowo zamienia się w perłę.

- W takim razie dlaczego tu jesteś?

- Chciałem zobaczyć się z tobą.

Gussy poczuła, że skrzydła rosną jej u ramion, ale postanowiła za wszelką cenę zachować pozory powściągliwości.

- Bardzo mi miło z tego powodu, ale muszę zaraz tam wracać.

- Wracać? Chyba oszalałaś. Nigdy nie myślałem, że jesteś laka sumienna.

- Bo nie jestem! Naprawdę nie jestem. Muszę tylko mieć dobry powód do ucieczki.

I zapominając o pozorach powściągliwości, rzuciła mu się na szyję. Przytrzymał ją na odległość wyciągniętego ramienia.

- Żadnych skandali pod nosem twojej babki. Nic podobnego nie przyszło mi nawet do głowy.

- A może jednak?-Gussy zachichotała cicho i obejrzała się do tyłu.

Jed oparł ręce na jej biodrach. Zakołysała nimi uwodzicielsko, próbując podejść krok bliżej.

- A może jednak nie? - droczył się z nią, chociaż wcale nie miał zamiaru jej powstrzymywać.

Wtedy Gussy przyciągnęła do siebie jego głowę.

- *Nasza jest noc* - zanuciła. - / *oprócz niej nie mamy nic*...

Rozchyliła usta i wystawiła czubek różowego języka.

- Trochę trudno się z tym zgodzić, zważywszy godzinę - mruknął - ale uważam, że każda pora jest dobra.

- Skoro tak, Jed... - Gussy, nie czekając dłużej, zaczęła go całować.

Jed poczuł, jak fala gorąca przenika go od stóp do głów. Wydawało mu się, że Gussy w jednej chwili uruchomiła wszystkie jego komórki nerwowe. Miał nadzieję, że i ona to czuje, kiedy tak przylega do niego całym ciałem. Marzył, żeby ją posiąść tu i teraz, chociaż równocześnie wiedział, że nie tego chce naprawdę.

Pomimo żądzy pragnął bowiem czego innego. Chciał, żeby zaznała z nim rozkoszy, jakich jeszcze nie doświadczyła. Chciał, żeby drżała z pragnienia, którego nie będzie umiała powściągnąć. Chciał, żeby powtarzała tylko jedno imię - jego, i żeby w snach widziała tylko jego twarz. Słowem - pragnął być jedynym mężczyzną w jej sercu, w jej myślach, jedynym działającym na jej zmysły.

Opadł powoli na ławkę. Gussy schyliła się nad nim i palcami pieściła jego głowę, kark, czubki uszu...

- Przytul mnie - wymruczała, oddychając ciężko.

Wtulił twarz w jej piersi, oszołomiony ich idealnym kształtem, rysującym się pod koronkową bluzką. Szybko rozpiął jej guziki i wsunął dłonie pod materiał.

- Przytulę cię, kochanie. Na zawsze - obiecał głosem nabrzmiałym z pragnienia.

- Nie! - krzyknęła, kiedy przesunął kciukiem po jej sutkach.

Jęknęła i zacisnęła dłonie na drewnianych kratkach pergoli. W jednej chwili zasypał ich deszcz różanych płatków.

- Nie! Nie puszczaj mnie! - krzyknęła jeszcze i zamilkła, bo przycisnął ją do siebie mocno, żeby poczuła, jak bardzo jej pragnie. Drgnęła zawstydzona, ale nie odsunęła się. Miał przed czarni jej brodawki, sztywne i wyprężone. Nie wytrzymał. Wziął jedną pierś w usta. Gussy opadła na niego, a jej włosy teasłoniły mu twarz brązowym welonem.

- O mój Boże! Ethel! Czy to widzisz? Nie, lepiej nie patrz! - rozległ się przerażony głos za ich plecami.

Gussy odwróciła się, lekko zamroczona, i mrugając powiekami, wpatrywała się w zgorszone twarze dwóch członkiń Towarzystwa, które, nie zauważone, udały się na przechadzkę do różanego ogrodu Marian.

Chciała uciec, ale nagle zdała sobie sprawę, że ma zsuniętą z, ramion bluzkę, a Jed wciąż całuje jej piersi. One nie mogą go zobaczyć! pomyślała w panice i zdziwiona własną siłą, przygwoździła go do ławki, nie pozwalając wstać.

- Proszę cię, Jed! Nie ruszaj się, bo cię zobaczą - błagała, zapinając guziki trzęsącymi się rękami.

- Mój Boże, Ethel! To wnuczka Marian!

- April? - Krótkowzroczna Ethel wpatrywała się w spłoszoną parę.

- Nie, nie April. To Augustyna, ta spokojna. Nigdy bym…

Ani ja, jęknęła Gussy z przerażeniem, ja też nigdy bym… A co będzie, kiedy o wszystkim dowie się Babka? Wolała o tym nie myśleć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nigdy nie mów nigdy

Marian Throckmorton zburzyła święty porządek śniadania! Był to pierwszy znak, że zdarzy się coś strasznego.

Gussy zjawiła się na tarasie punktualnie co do minuty. Była pewna, że czeka ją reprymenda. Wczoraj udało się jej uniknąć spotkania z Babką. Uciekła do sypialni, zanim plotki zdążyły dotrzeć do kwatery głównej na tarasie. A jednak Babki nie było przy stole. Nie było też Thwaite'a.

Gussy usiadła na zwykłym miejscu. I tak nie miała dokąd iść. Wiedziała również, że nie wymiga się od zasadniczej rozmowy z Babką. Gilotyna wisiała nad nią od dnia regat, kiedy to ośmieliła się publicznie wziąć Jeda za rękę.

Na tarasie pojawił się Godfrey. Tupiąc obcasami wysokich, skórzanych butów podszedł do Gussy i rzucił na stół srebrny stojak z grzankami.

- Śniadanie podane, panienko - powiedział, przedrzeźniając Thwaite'a.

Na czas pobytu u Throckmortonów Godfrey objął stanowisko szefa kuchni. Thwaite wymógł na nim, żeby nosił biały płócienny fartuch, ale Godfrey nakładał go na skórzaną kamizelkę nabijaną ćwiekami i jaskrawe spodenki w paski, jakie zwykle noszą surfingowcy, ośmieszając tym samym zamiłowanie Thwaite^ do pompy i celebry.

Gussy w cichości ducha popierała niekonwencjonalny styl Godfreya.

- A gdzie Babka? I Thwaite? - zapytała.

- Pani Throckmorton jest na górze u starego zgreda. Drugi Mary zgred kręci się gdzieś pod drzwiami. Prawdopodobnie podsłuchuje.

Jeśli Babka jest u pradziadka, to znaczy, że sytuacja jest gorsza, niż można się spodziewać. Naradzają się oboje. Nad tym, jak ją ukarać.

Obcięła czubek jajka na twardo i zastygła z łyżeczką w powietrzu. Mamy jej los. I, co gorsza, mamy los Jeda. Wyrzucą go, o ile ona czegoś nie wymyśli.

- Jajko w porządku?-Godfrey obserwował ją w milczeniu.

- Tak, dziękuję. Jak długo Babka jest na górze?

- Pojęcia nie mam.

Zdążyłaby już wypić pierwszą filiżankę kawy. Spóźnienie o jedną filiżankę - nagana dla Gussy. Spóźnienie o dwie filiżanki - wydadzą ją za mąż za Andrewsa, zanim plotki o jej prowadzeniu się obiegną całe miasteczko. W obu przypadkach Jed traci pracę.

- Augustyno! - Marian wkroczyła na taras i przywitała ją ledwo dostrzegalnym kiwnięciem brody.

Potem pomaszerowała kapralskim krokiem na miejsce. Thwaite szedł za nią krok w krok.

- Dzień dobry, babciu.

- Można dyskutować nad tym, czy dobry. - Marian popatrzyła na Thwaite'a, który natychmiast zniknął w głębi domu, posłuszny i uniżony jak zawsze. Potem wbiła stalowe spojrzenie w Gussy. - Augustyno! Jestem zaszokowana twoim zachowaniem. Powiem więcej - wstydzę się za ciebie.

- A co ja takiego zrobiłam? - Gussy zebrała się na odwagę, ale sama musiała uznać, że zabrzmiało to bardziej płaczliwie niż wyzywająco.

April wychodziła bez szwanku z setek podobnych awantur. Jeśli nie liczyć jej rozwodu, oczywiście.

- Postanowiłam zignorować fakt, że widziano cię, jak trzymasz się za ręce z ogrodnikiem. Wszyscy młodzi ludzie mieszają się z obcymi w chęci sprawdzenia, jak bardzo można poszerzyć kontakty międzyludzkie. Jestem pewna, że już wiesz, że to nie było towarzystwo dla ciebie.

Marian powoli wlewała śmietankę do filiżanki z kawą.

- Drogi Andrews powiedział mi też, jak stanowczo zareagowałaś na jego... hm... nazwijmy to... wstępną propozycję, którą złożył ci podczas tańca. Z raportu Thwaite'a natomiast wynika, że po tańcach wróciłaś do domu furgonetką pana Kelleya.

Zapadła krótka chwila milczenia. Gussy wzięła głęboki oddech w oczekiwaniu najgorszego.

- Nie mogę jednak przejść do porządku dziennego nad twoim zachowaniem podczas lunchu dla Towarzystwa Ogrodniczego. Żeby dać się przyłapać Ethel i Luizie w podobnie kompromitującej sytuacji! To przekracza granice przyzwoitości! Teraz cały klub zabawia się spekulacjami nad tożsamością twojego admiratora.

Gussy otworzyła usta ze zdziwienia. Nie wiedzą? I Babce nawet nie przyszło do głowy, że to Jed mógł być owym tajemniczym mężczyzną?

- Nie życzę sobie, Augustyno, komentarzy na temat twojego skandalicznego prowadzenia się. Zapamiętaj sobie, że nazwiska dam wspomina się publicznie jedynie przy okazji urodzin, ślubu i śmierci.

- Czasy się zmieniły, Babciu.

- Owszem. Ale nie tak drastycznie, żebym mogła darować ci podobną nieprzyzwoitośc. Nie rozumiem, co się z tobą dzieje. Byłaś takim posłusznym dzieckiem... Nie zdziwiłabym się, gdyby chodziło o April. - Babka nie próbowała nawet ukryć

wyrazu niesmaku na twarzy. - Pamiętaj, że od dobrej reputacji zależy przyszłość twoja i twojej rodziny.

- Od jakiegoś czasu jestem już pełnoletnia. Zresztą Babcia sama kazała mi znaleźć sobie męża! - Chyba przekonanie, że Jedowi nic nie grozi, dodało Gussy pewności siebie.

Serwetka wyleciała Marian z rąk.

- Owszem - sapnęła. - Ale nie w taki... intymny sposób.

- Teraz taki zwyczaj, Babciu. Niektóre kobiety żyją ze swoimi mężczyznami przed ślubem.

- Bardzo ci dziękuję za tę, znaną mi zresztą, informację. Marian zacisnęła wargi. - Ale żadna Throckmortonówna nie upadnie tak nisko. Zapamiętaj to sobie, Augustyno. Dzisiaj rano przeprowadziłam poważną rozmowę z twoim pradziadkiem.

Gussy zacisnęła dłonie. Doczekała się! Nadchodziło główne uderzenie. Zaraz Babka zakomunikuje jej, co postanowił ziejący ogniem dyktator, Eliasz Quincy Throckmorton.

- Pradziadek chce z tobą porozmawiać. Masz pojawić się u niego natychmiast.

Nic gorszego nie mogło się jej przytrafić. Gussy poczuła, jak krew ścina się jej w żyłach ze strachu.

- Masz wykonać wszystko, co ci każe - dodała jeszcze Marian. -1 nawet nie próbuj protestować.

Gussy kiwnęła głową. Czy kiedykolwiek było inaczej?

Eliasz Quincy Throckmorton nie był człowiekiem skłonnym do kompromisów. Szczycił się tym, że nie obchodzą go zmiany zachodzące w świecie. Z biegiem lat jego charakter stał się twardszy od skały. Gussy była pewna, że pradziadek już od kołyski miał ostatecznie ustalone poglądy, z których najważniejszy głosił, że to on stanowi prawa obowiązujące całą rodzinę.

Stojąc pod ciężkimi, mahoniowymi drzwiami prowadzącymi

do jego sypialni, Gussy bała się, że będzie pierwszą osobą w historii rodziny zmuszoną do tego, żeby otwarcie mu się sprzeciwić. Nie zrobiła tego ani April, ani nawet Babka.

No, chyba że zdecyduje się wyjść za mąż za narzuconego jej kandydata.

Nie! Musi mu się sprzeciwić. Musi!

Drzwi otworzyły się, zanim Gussy zdecydowała się zapukać. To Rozalinda kończyła nocną zmianę.

- Czy on czeka na mnie? - zapytała Gussy szeptem.

- Uważaj na siebie, Gussy. - Nawet pogodna zawsze Rozalinda nie miała dzisiaj humoru. - Eliasz jest w koszmarnym nastroju. Ale musisz wejść. Daj mu powiedzieć, co ma do powiedzenia. To tylko słowa. Niech spłyną po tobie jak woda.

- Nie umiem tak. Zawsze biorę sobie wszystko do serca.

- Niepotrzebnie, dziewczyno. - Rozalinda uścisnęła ją serdecznie. - Bierz sobie do serca tylko to, co naprawdę jest ważne. Nie pozwól mu się upokorzyć.

- Dziękuję ci. Postaram się.

Mała Jamajka uśmiechnęła się, żeby dodać jej odwagi.

- Wchodź. Załatwisz wszystko, zanim przyjdzie siostra Schwarthoff ze śniadaniem.

Gussy odprowadziła ją pełnym wdzięczności spojrzeniem.

Dziwactwa jej pradziadka polegały na tym, że uznawał tylko angielskich lokajów, francuskich kucharzy, japońskich ogrodników, włoskich szoferów, szwajcarskich księgowych i austriackich instruktorów narciarskich. W niektórych latach ich dom przypominał gmach ONZ w Nowym Jorku. Z czasem jednak Eliasz musiał pogodzić się z tym, że pracują dla niego inne nacje, a Rozalinda stała się nawet jego ulubienicą, o ile taki złośnik jak on w ogóle umiał kogoś lubić.

Rozalinda uświadomiła jej bardzo ważną rzecz: Eliasz był starym, przykutym do łóżka człowiekiem. Zostały mu tylko

słowa.Tak naprawdę nie mógł jej zmusić do zrobienia niczego, czego nie zechce zrobić.

Jeśli mu ulegnie, będzie to tylko wina jej tchórzliwej natury.

Kilka godzin później Gussy znowu odwiedziła wozownię pod nieobecność gospodarza. Tym razem jednak uznała się za usprawiedliwioną. Przejrzała kuchenne szafki Jeda i kręcąc głowił na braki w jego zasobach, usiadła, żeby zrobić listę niezbędnych rzeczy.

Była podniecona śmiałością swojego planu, który - pod pewnymi względami - był zgodny z rozkazem pradziadka. Musiała działać szybko. Liczył się każdy dzień. Gdyby Andrews oświadczył się teraz jej, nie ośmieliłaby się mu odmówić.

Pradziadek zrobił jej wykład o tym, jak powinny prowadzić się niezamężne kobiety w rodzinie Throckmortonów. Uderzał przy tym laską w podłogę, a nawet potrząsał pięścią. Jego tubalny głos odbijał się echem od ścian pokoju, a ona stała na trzęsących się nogach i nie wymówiła ani jednego słowa. Kiedy pod koniec przemowy postawił jej ultimatum, była zbyt zastranzona, żeby zauważyć w nim pewne luki, ale teraz widziała je jasno. I postanowiła wykorzystać okazję.

Wróciła pędem do domu. Weszła tylnym wejściem, żeby nie Mpotkać Babki, która mogła właśnie w bibliotece planować jej przyszłość ze swoim drogim Andrewsem.

Po krótkiej naradzie z Godfreyem zapakowała do pudła mnó-Mwo wiktuałów, narzędzia kuchenne oraz ciężką patelnię, i poleciła mu zanieść wszystko do wozowni. Potem, rozejrzawszy się, czy w pobliżu nie ma Thwaite'a, zaryzykowała wyprawę do swojego pokoju po najatrakcyjniejszą sukienkę, jaką miała.

Na razie wszystko szło po jej myśli.

Po minie Godfreya, który czekał na nią w mieszkaniu Jeda, widać było, że nie wierzy w jej kulinarne zdolności. Przekonała

go jednak, że nie rozgotuje makaronu ani jarzyn, i odesłała lokaja do domu. Nie chciała, żeby był w wozowni, kiedy wróci

Jed. Towarzystwa dotrzymywał jej Percy, którego obecność zawsze działała na nią kojąco.

Nie bała się, że ktoś ją tutaj odnajdzie. Babka wykazywała zadziwiający brak wyobraźni, jeśli chodzi o Jeda. Było to bardzo wygodne, chociaż dziwne. Nawet siedemdziesięcioletnia kobieta powinna zauważyć, że uroda i witalność Jeda mogą przełamać wszystkie bariery klasowe rodem z zamierzchłych czasów królowej Wiktorii.

Jej ślepota dawała Gussy cień szansy.

Gdyby jeszcze Jed zechciał zrealizować jej plan... Gussy miała nadzieję, że zechce. Przecież nie całowałby jej tak, gdyby mu na niej nie zależało. Tylko dlatego zdecydowała się grać *va banque*.

Percy udał się na inspekcję mieszkania, a ona zaczęła przygotowywać kolację. Kiedy jarzyny były pokrojone, a bazylia posiekana, poszła do łazienki, żeby się umyć i przebrać. W poszukiwaniu mydła przejrzała wszystkie szafki. W końcu w jednej z szuflad znalazła garść małych hotelowych mydełek. Dziwny zwyczaj, pomyślała.

Potem puściła muzykę i słuchając irlandzkiej piosenki o dziewczynie, która rzuciła wszystko, żeby iść za ukochanym, zastanawiała się, czy ona sama umiałaby zrezygnować ze stylu życia, do jakiego przywykła. Czy mogłaby zerwać z rodzinnym domem i bliskimi?

- Tak - zdecydowała na głos, myśląc o Jedzie.

Przecież w końcu można się przyzwyczaić do hotelowych mydełek.

Małżeńskie więzy dadzą jej nie tylko męża i nowy dom, ale pozwolą odważnie skorzystać z niezależności. Narodzi się zupełnie nowa Gussy.

- I co o tym myślisz, Percy? - zapytała ze strachem w głosie.

Co się stanie, jeśli plan zawiedzie? Co będzie, jeśli nie wzięła pod uwagę jakiegoś ważnego czynnika?

Ale wtedy rozległ się warkot samochodu. Jed wrócił do domu.

- A to co? - zdziwił się, stając w progu. - Miła niespodzianka.

- To dobrze, bo już się bałam, że nie będziesz zadowolony z mojej nie zapowiedzianej wizyty.

Gussy zaplotła ręce z tyłu, żeby nie zauważył, że palce drżą jej ze zdenerwowania, niepokoju i podniecenia.

- Nigdy w życiu - zapewnił, pociągając nosem. - A już na pewno nie wtedy, kiedy czuję takie zapachy.

Kolacja, pies łaszący się do nóg i nade wszystko Gussy, która stała przed nim boso, w luźnej, jedwabnej sukni z głębokim dekoltem i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, składały się na coś więcej niż tylko miłą niespodziankę.

- Czyżby Ethel i Luiza nie doniosły na ciebie Babce?

Jed sądził, że po incydencie w różanym ogrodzie Gussy zacznie go unikać. Zorientował się, że wcale nie jest doświadczoną romansach panienką, za jaką ją uważał.

- Skądże. Opowiedziały jej ze szczegółami, czego były swiadkami. Zrobiły to od razu. Wszystkie panie powtarzają sobie teraz historię o tym, jak zostałam złapana *in flagranti* w różanym ogrodzie. Ale chyba będziesz zadowolony, jeśli ci powiem, że nie mają pojęcia, z kim mnie widziały. Mam trochę kłopotów, ale ty nie stracisz pracy.

Jed stał w kuchni, oglądając zgrabne stosiki pokrojonych jarzyn i ziół. Powoli podniósł głowę.

- Nie jestem aż tak przywiązany do tej pracy, Gussy. Czy dlatego zależało ci, żeby nikt mnie nie poznał? Bo ja byłem

pewien, że nie chcesz, żeby ktoś zobaczył, iż całujesz się ze zwykłym ogrodnikiem. Co byłoby naturalne, zważywszy na dziewiętnastowieczne poglądy Throckmortonów.

- Skądże znowu, Jed. - Gussy, lekko zawstydzona, zatrzepotała rzęsami. - Przynajmniej, jeśli chodzi o mnie. Nic nie poradzę na poglądy Babki i pradziadka, ale ja… - spojrzała na niego przez zaparowane okulary - ja naprawdę... cię podziwiam.

I jak tu nie myśleć o dziewiętnastym wieku? Przecież tak mawiało się w książkach. Przypomniał sobie *Rozważną i romantyczną* Jane Austen, którą wziął z biblioteki, kiedy okazało się, że wszystkie powieści przygodowe zostały wypożyczone.

- Ja też cię podziwiam - oświadczył z powagą.

- To dobrze. - Gussy ze schyloną głową bawiła się garnkami. - Przynajmniej ustaliliśmy coś, co nas dotyczy.

- Uważam, panno Augustyno, że wyciąga pani zbyt daleko idące wnioski. Jeszcze niczego nie ustaliliśmy. Przynajmniej na razie.

Gussy nic riie powiedziała. Nawet na niego nie spojrzała. Z zaróżowioną twarzą wycierała dokładnie okulary.

- Czy zdążę jeszcze wziąć prysznic? - zapytał szybko.

- Jasne. - Włożyła okulary na nos i uśmiechnęła się, żeby dodać sobie odwagi. - Kontroluję sytuację. Idź do łazienki.

Spojrzała na jego rozpiętą koszulę i wyobraziła sobie nagiego Jeda pod strumieniem wody.

- Och! - powiedziała cichutko.

Jed uśmiechnął się pod nosem. Nie miał wątpliwości,co oznaczało jej westchnienie. Wiedział już, że Gussy nie jest żadną *femme fatale* ani rozpuszczoną, kochliwą dziedziczą. Dziedziczką - owszem. Może nawet zakochaną dziedziczką. I kto wie - może zakochaną w jednym mężczyźnie? Kto wie? Kto wie?

Czuł się lekki i szczęśliwy, kiedy wchodził do łazienki.

Miło było wrócić do domu, w którym był przyjazny pies, domowa kolacja i zakochana dziedziczka.

Mydło znowu zniknęło. Po raz trzeci. Za każdym razem działo się tak przy okazji wizyty Gussy w jego mieszkaniu. Sprawdził mydelniczkę obok prysznica - też pusta. Bardzo dziwne. Czyżby Gussy objawiała niezdrowe skłonności do używanych przez niego mydeł? Rodzaj mydlanego fetyszyzmu?

- Gussy? - zawołał. - Czy nie widziałaś przypadkiem mydła?

Usłyszał szczęk drzwiczek od piecyka.

- Właśnie odpakowałam świeżą kostkę.

Oczywiste kłamstwo. Nie, kochanie, nie mogłaś tego zrobić, mruknął do siebie, sięgając do szuflady. Jeśli tak dalej pójdzie, żelazna racja hotelowych mydełek niedługo się skończy. Odkąd przestał podróżować z hokeistami, nie uzupełniał zapasu. I potrząsając głową ze zdumienia nad obyczajem Gussy, wszedł pod prysznic.

Tymczasem Gussy skończyła przygotowywać jedzenie i nakryła do stołu. Wysokie szklanki napełniła kruszonem, który chłodził się w lodówce.

Przeszli do salonu. Jed natychmiast usiadł na dwuosobowej kanapie. Gussy zawahała się chwilę, niepewna, czy ma poddać się emocjom i zająć miejsce obok niego, czy posłuchać głosu rozsądku. W końcu usiadła w fotelu obok. Rozsądek zwyciężył.

Percy przysiad przy Jedzie i z pasją zaczął lizać jego ręce. Kiedy Jed opuścił rękawy swetra i kazał mu odejść, pies smutno zaskowyczał.

- Lubi smak skóry. - Gussy spojrzała na Jeda przepraszająco i wydała Percy'emu polecenie, żeby sobie poszedł.

Jed prześlizgnął się wzrokiem po jej ciele. Nastąpiła chwila

niezręcznej ciszy. Potem zagrzechotały kostki lodu w szklance Gussy.

- Jak ci minął dzień? - zapytała w końcu Jeda, zupełnie jak panienka w dziewiętnastowiecznej powieści.

Opowiedział jej o planach rekonstrukcji starego domostwa osadników w Peąuot, piętnaście kilometrów od Sheepshead Bay. Przy okazji ogłoszono konkurs na projekt osiemnastowiecznego przydomowego ogrodu i on zamierzał wziąć w nim udział.

Gussy była świetną słuchaczką, więc z rozmachem i swadą opowiadał o swoim projekcie. Dopiero po chwili zakręciła się niespokojnie, z obawą spoglądając w stronę kuchni: o ile zaraz nie zaczną jeść, jarzyny zmienią się w papkę.

Co się tu dzieje? zastanawiał się Jed, siadając przy stole pod oknem. Autoprezentacja Gussy jako przyszłej narzeczonej? Jako przyszłej żony? Kobiety nie raz już wycinały mu podobne numery. Przygotowywały mu jedzenie, nieproszone porządkowały mieszkanie, przynosiły domowe ciasta albo robiły prezenty z przeróżnych kuchennych utensyliów, które „przypadkowo" zauważyły na wyprzedaży.

Nie chodziło o to, że wyobrażał sobie przyszłe życie bez żony. Wręcz przeciwnie. Nie raz i nie dwa myślał o końcu kariery, rozległym domu, gromadce dzieci oraz o inteligentnej, dowcipnej, seksownej kobiecie, która - owszem - będzie umiała gotować, ale nade wszystko będzie pełna ciepła i uroku.

On sam wychował się w podobnym domu, nieco chaotycznym, ale absolutnie pozbawionym snobizmu, pełnym miłości, którą otaczali go kochający się bardzo rodzice.

Początkowo wydawało mu się, że Julia idealnie spełnia jego warunki. Pomylił się,

Do Gussy był uprzedzony od samego początku. Widział, że jest nim zainteresowana, i nie chciał mieć z nią nic do czy-

nienia. I proszę, jak to się skończyło! Co najdziwniejsze - nie był zmartwiony z tego powodu. Czasami nawet myślał sobie, że Gussy jest kobietą, w której mógłby zakochać się jak szczeniak.

- Nie przeszkadza ci, że kolacja jest bez mięsa? - Gussy postawiła na stole półmiski. - Wiesz, jestem w pewnym sensie wegetarianką.

Nałożył sobie wielką porcję makaronu z warzywami.

- Nic a nic - odpowiedział. - Co to znaczy: „w pewnym sensie wegetarianką"?

- To znaczy, że nie jem mięsa, nawet jeśli mam je na talerzu. Babka uważa, że wegetarianizm to taki modny kaprys. Pradziadek potępia sam pomysł.

- A przecież smakował ci hamburger.

- W pewnym sensie przestaję być wegetarianką, kiedy widzę takie jedzenie. - Zabawnie zmarszczyła nos. - Na pewno zdążyłeś się już zorientować, że nie jestem bardzo konsekwentną osobą.

Podała mu miseczkę z tartym parmezanem i podsunęła koszyczek z bagietkami.

- Dlaczego się nie wyprowadzisz? Wtedy sama ustanawiałabyś zasady.

Gussy przygryzła dolną wargę i spojrzała przez okno na wielki czerwony dom prześwitujący między drzewami.

- Kilka razy planowałam, że się wyprowadzę, ale nigdy mi się to nie udało. Tak naprawdę, nie chcę tego robić. Kocham to miejsce: ogród, lasy, widok oceanu...

Kiedy opowiadała mu o swoich ulubionych zakątkach w lesie i kryjówkach nad brzegiem morza, oczy błyszczały jej jak dwie srebrne monety na słońcu. Przyznała się, że zapomina o stresach i kłopotach, kiedy jest na dworze - obojętnie, czy pracuje w ogrodzie, czy idzie gdzieś przed siebie.

Jed od razu powiększył swój wymarzony dom o kilka hektarów ziemi. Wyobraźnia czyni cuda.

- To ty powinnaś mieszkać w wozowni, nie ja - uśmiechnął się do niej.

Albo mieszkać tu ze mną, dodał w duchu.

- Zawsze mi się tu podobało. - Gussy rozejrzała się po pokoju. - Kiedyś nawet napomknęłam Babce o przeprowadzce. Odpowiedziała, że w dużym domu mam o wiele więcej przestrzeni.

- Nie mówiąc o tym, że ona ma cię zawsze na oku.

- Tak, to też.

Ale wyraźnie nie chciała dłużej o tym rozmawiać. Zręcznie zmieniła temat. Lekka i niezobowiązująca konwersacja o ogrodach, filmach i podróżach trwała aż do deseru. Udało się jej nawet wyciągnąć od Jeda, że podobał mu się film nakręcony na podstawie *Rozważnej i romantycznej*.

- Przypominasz mi po trosze obie siostry Dashwood - zauważył, zajadając się truskawkami.

- Nie. Raczej Elinor, tę starszą. Nie poddaję się tak łatwo uczuciom jak Marianna. Nauczyłam się panować nad emocjami.

- Naprawdę? - zaśmiał się niedowierzająco. - Może się założymy? Jestem pewien, że kiedy zaczniemy się całować, nie będziesz umiała zapanować nad sobą.

- Hm… - Zmrużyła oczy. - O co zakład?

- O pocałunek. A jeśli nie wytrzymasz - dostaję jeszcze jeden. Ale muszę zobaczyć i usłyszeć twoją reakcję.

- Dobrze. - Usiadła wyprostowana i zacisnęła pięści. - Masz na to pięć sekund.

- Dziesięć - targował się.

- Siedem. A co będzie, jeśli ja wygram?

- Nie ma takiej możliwości.

- Jest. Jeśli wygram, biorę wozownię.

- Ze mną czy beze mnie? - zapytał z niewinną miną.

- O, proszę! Chciałbyś! - parsknęła śmiechem. - Nastaw stoper. Jestem gotowa.

Jed położył rękę na jej twarzy. Gussy patrzyła zaskoczona. Wskazującym palcem przesunął po jej wargach, a potem zaczął głaskać jej zaciśnięte mocno pięści.

- Masz siedem sekund - przypomniała mu.

- Na sam pocałunek. Nie było mowy o czynnościach wstępnych.

- Nic nie wspominałeś żadnych o czynnościach wstępnych...

- Ty o nich nie wspominałaś. Poważne niedopatrzenie, Śmiem twierdzić.

- Oszukujesz, ale trudno. - Gussy z trudem zachowywała powagę. -1 tak mnie nie złamiesz.

Przyłożył usta do jej ucha i szepnął:

- Nie mam zamiaru cię łamać. - Delikatnie zdmuchnął kilka kosmyków jej włosów. - Ja tylko chcę kochać się z tobą.

Otworzyła usta i omal nie krzyknęła, ale powstrzymała się w porę.

- Uważaj! - ostrzegł Jed. - Jeszcze nie zacząłem cię całować.

Gussy oblizała wargi, a on postanowił wykorzystać ten pomysł. Zwilżył śliną koniuszek palca i leciutko dotknął nim jej ramienia. Potem zaczął powolną podróż w dół ręki, kreśląc na skórze spiralne linie, aż dotarł do zaciśniętych dłoni. Przesunął kciukiem po zbielałych kostkach i rozpoczął równie subtelną drogę w górę. Na skórze Gussy pokazała się gęsia skórka. Schylił się i chuchnął na nią delikatnie. Widział, że Gussy trzyma się ostatkiem sił. Rozpostarła palce, niezdolna dłużej zaciskać pięści. Był bliski wygranej, nawet bez pocałunku, ale nie zamierzał przerywać gry.

- A teraz - zatrzymał twarz milimetry od jej twarzy - pocałuję cię, Augustyno Fairchild.

Zobaczył, jak zatrzepotała rzęsami, a potem zamknęła powieki. Dotknął ich delikatnie.

- Teraz cię pocałuję - powtórzył, ujmując w dłonie jej brzoskwiniowe policzki.

I zaczął ją całować - powoli, bardzo powoli wczuwał się w smak jej ust. Odpowiedziała natychmiast i wtedy minęło jego siedem sekund. Przestał ją całować, ale nie przestał jej dotykać. Gussy jęknęła głośno, zmysłowo.

- Wygrałeś - przyznała.

- Wygrałem - zgodził się i zaczął całować ją znowu.

Wyprężyła się jak kotka i natychmiast odpowiedziała na pocałunek. Podniosła rękę, jednym ruchem rozpuszczając koński ogon. Potrząsnęła włosami i Jedowi wydawało się, że tonie w klonowym syropie.

- Gussy! Muszę to wiedzieć. Twoje zaręczyny...

- Pomyliłam się, Jed. Jestem absolutnie pewna, że nie mogę wyjść za żadnego z tych facetów.

- To dobrze - odetchnął z ulgą.

- Czy moglibyśmy przejść teraz do sypialni?

- Skoro tak pięknie prosisz...

- Gussy, kocham cię - wyszeptał do niej, kiedy leżeli potem obok siebie, bez tchu, zmęczeni, ale szczęśliwi.

Przytuliła się do niego, pijana radością i ledwo żywa ze zmęczenia. Mrucząc pod nosem jego imię, zapadła w sen, powtarzając sobie w duchu, że następnego ranka musi zrobić wszystko, żeby Jed natychmiast po obudzeniu poprosił ją o rękę, bo pradziadek kazał jej wyjść za pierwszego kandydata, który się jej oświadczy, tym kandydatem musiał być Jed. Nikt inny, tylko on...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wiedza intymna

Złocisty blask słońca sączył się przez zielone gałęzie sosen, pokrywając ściany sypialni ruchomym deseniem plam i kresek. **Jak** pięknie, westchnęła Gussy, wchodząc do pokoju z tacą ze śniadaniem. Prawdziwy pierwszy dzień jej nowego życia właśnie tak powinien się zacząć!

Spojrzała na Jeda, który spał z rozrzuconymi rękami i nogami. Bladoniebieskie prześcieradło okrywało jego nagość, jakby nie chciał urazić jej skromności. Uśmiechnęła się do siebie. Po tej nocy jej wiedza intymna o Jedzie bardzo się poszerzyła.

Pierś unosiła mu się w równym rytmie. Cicho chrapał.

Jed chrapie, zdumiała się. To też była wiedza intymna, chociaż podczas długiej, wspaniałej nocy dowiedziała się o nim wielu istotniejszych rzeczy.

- Dzień dobry. - Uniosła poduszkę, którą miał na twarzy. Przyniosłam ci kawę. - Uklękła obok łóżka. - Przepraszam, że budzę cię tak wcześnie, ale muszę powiedzieć ci coś ważnego, zanim wyjdę.

- Zanim wyjdę? - powtórzył nieprzytomnie, pocierając ręką czoło. - Dlaczego chcesz wychodzić?

Przyciągnął ją do siebie.

- Zostań.

- Muszę zameldować się Babce. Oparła policzek o jego

pierś. - Byłaby oburzona, gdybym nie pojawiła się przy stole na czas.

- Dobrze by jej to zrobiło. - Jed przesunął palcami po włosach Gussy. - Tobie też.

- Mnie już jest dobrze. - Polizała go po ramieniu. - Nie tylko Percy lubi smak twojej skóry - szepnęła.

- A więc zostań. - Rano jego głos był niższy niż zwykle. - Będziesz mogła oblizać mnie całego.

- Jed! - Rzuciła w niego poduszką. - Powinieneś zachować resztki przyzwoitości w towarzystwie niedoświadczonych dziewczynek. Opanuj się, bardzo cię proszę.

- Oczywiście, oczywiście! Biedna mała Gussy Musi stawiać czoło całemu legionowi konkurentów, którzy wcale nie liczą się z jej wrażliwą duszyczką.

Legionowi? Gdyby tylko znał prawdę!

- A więc, Jed! - zaczęła dziarsko. - Żadnych konkurentów więcej. Obiecuję ci. Szast, prast, zniknęli. Tylko ciebie zatrzymuję.

- Naprawdę?

- Uhm.

Nie okazał zachwytu i Gussy znowu straciła pewność siebie.

- O tym chciałaś porozmawiać?

Natychmiast rozjaśniła się jej buzia.

- Wszystko wymyśliłam. Od dnia ślubu mój mąż wraz ze mną przejmuje kontrolę nad moją częścią majątku, a więc nie będziemy mieć żadnych finansowych kłopotów. Mogę zainwestować pokaźną sumę w twój biznes i w ten sposób zostać twoją wspólniczką, o ile oczywiście uznasz, że tego chcesz...

Jed zamrugał oczami.

- Bo niektóre pary nie mogą razem żyć i pracować - dodała.

Jed wpatrywał się to w swoją kawę, to w nią. Gussy poczuła skurcz żołądka. To podniecenie, przekonywała siebie. Zaraz przejdzie.

- O czym ty mówisz? - wyjąkał w końcu Jed.

- Ja... - Gussy straciła cały impet i dokończyła mniej optytycznym tonem. - Wiem, że powinnam poczekać, aż sam mi zaproponujesz. Ale wiesz, ja nie mogę czekać. Ziemia pali się pod nogami. Pradziadek postawił mi ultimatum. Słowem muszę wyjść za mąż.

- Musisz wyjść za mąż.

Jed zachowywał się jakoś dziwnie. Zupełnie nie tak to sobie wyobrażała. Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. Poczuła, że ogarnia ją strach.Jeszcze chwila,a znowu zamieni się w tchórzliwą myszkę.

- Musisz wyjść za mąż... - powtórzył, marszcząc brwi. - Nie wyobrażam sobie, żeby, stawiając ci takie ultimatum, miał na myśli mnie.

Gussy odetchnęła głęboko. Próbowała pozbyć się duszącego guza, który dławił jej gardło.

- To prawda. Dobrze wiem, że oboje z Babką myśleli o Andrewsie, ale pradziadek nie wymienił go z imienia. Najpierw wygłosił mowę, a potem nakazał mi przyjąć oświadczyny pierwszego mężczyzny, który poprosi mnie o rękę. Oczywiście był pewien, że zrobi to Andrews. Już Babka to załatwi. A ja pomyślałam sobie, że skoro pradziadek nie sprecyzował, o kogo chodzi to…

Proszę cię, Jed, błagała go w myślach, proszę cię. Oświadcz mi się teraz.

- Pomyślałaś sobie, że to mogę być ja.

W jego słowach nie było nawet cienia pasji, którą okazywał w nocy, ale Gussy nie miała wyjścia. Musiała brnąć dalej.

- Owszem. Bardzo dobrze się nadajesz.

- I wszystko sprytnie ukartowałaś...

- To nie tak, Jed - zająknęła się.

Dlaczego nie objął jej teraz? Dlaczego nie przytulił, żeby

znowu poczuła się bezpieczna? Nie obiecał jej wsparcia w konfrontacji z Babką? Tak bardzo tego potrzebowała. Powoli przestawała wierzyć we wszystko, co zdarzyło się ostatniej nocy.

Była zbyt nieśmiała, żeby rzucić mu się na szyję i przypomnieć, że są kochankami. Wybrała zatem inną taktykę.

- Małżeństwo będzie korzystne dla nas obojga. Wprowadzę cię w tutejszy światek. Twoje interesy rozkwitną. A ja… Wiesz, jak bardzo chcę iść własną drogą. Jako mężatka będę niezależna. Stanę się nareszcie sobą... - Głos drżał jej coraz bardziej. - Babka będzie musiała uznać, że mam prawo do decydowania o własnym życiu.

Ostatnie słowa wymówiła prawie szeptem, bo Jed wyskoczył z łóżka jak oparzony, sięgnął po leżące na podłodze dżinsy i błyskawicznie wciągnął je na siebie.

- Przepraszam - rzucił, nie patrząc na nią. - Nie lubię omawiać interesów, kiedy jestem nagi.

- Interesów? - Gussy widziała tylko jego wykrzywione wargi i nic nie rozumiała.

- Tak to brzmi. Zaaranżowane małżeństwo... Twoje intencje są zupełnie jasne. Ja mam być środkiem, który pozwoli ci osiągnąć zamierzony cel.

- Nie, Jed. Ja nie chciałam...

Przerwał jej stanowczym ruchem dłoni. Omal się nie popłakała. Przecież chciała mu wszystko wyjaśnić, ostrożnie i powoli, ale jej się nie udało. Uraziła tylko jego uczucia. Dlaczego nie powiedziała o najważniejszym? Dlaczego nawet teraz nie umie się przemóc i oświadczyć po prostu, że go kocha?

- Może i nie jesteś pustą i głupią pannicą, za jaką cię miałem cię na początku. Ale tak czy inaczej - manipulujesz ludźmi. Próbowałaś manipulować mną.

Podszedł do okna, oparł się o framugę i zwiesił głowę.

- Powiedzmy to sobie jasno, Gussy. - Jed wciąż stał odwró-

cony plecami. - Nigdy nie poślubię kobiety, która chce wyjść za mnie dla swoich osobistych korzyści. Nigdy nie poślubię kobiety, która nie wybierze mnie dlatego, że jestem, jaki jestem. I dlatego nigdy nie poślubię - odwrócił się do niej z płonącymi oczami - ciebie, panno Augustyno Fairchild.

Gussy nie rozumiała, co dzieje się z jej ciałem. Głowę miała gorącą, a pozostałe członki lodowato zimne i zdrętwiałe. Ostatkiem sił zsunęła się z łóżka. Szła, nie czując podłogi pod stopami. Miała wrażenie, że serce przestało jej bić. Może to i lepiej.

- Przykro mi. Przepraszam. - Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. - Pomyliłam się. Już wychodzę.

W trzech susach Jed znalazł się przy niej. Wziął ją pod pachy i uniósł do góry. Była taka bezradna; głowę opuściła na piersi, żeby nie patrzeć mu w oczy.

Gussy wiedziała, że i tak na niego spojrzy. Musiała, bo działał na nią jak magnes, który wytrwale i nieubłaganie przyciągał ja do siebie.

- Niech ci nie będzie przykro, Gussy - powiedział gwałtownie Jed. - Nie poddawaj się! Nie wolno ci.

- Ale ty mnie nienawidzisz - wyjąkała. - Nie chcesz mnie.

Objął ją. Drgnęła, czując ciepło jego ciała.

- Musisz walczyć, Gussy. Musisz to zrobić, żeby stać się kobietą, którą mógłbym poślubić. - Głos mu złagodniał. - Kobietą, którą za wszelką cenę chciałbym poślubić.

Wyrwała się z jego objęć.

- Nie umiem - powiedziała żałośnie. - Próbowałam. Nie Umiem.

- Wiem, że umiesz. Wierzę w ciebie. Teraz ty musisz uwierzyć, że wszystko zależy od ciebie.

Zachwiała się, ale udało się jej jakoś utrzymać równowagę.

- Jestem już spóźniona.

Poranna rutyna okazała się wybawieniem. Dzięki niej miała co robić i wiedziała, dokąd iść.

Zebrała z podłogi pogniecioną suknię, rajstopy, bieliznę. Czuła się upokorzona i zawstydzona, że robi to na oczach Jeda. Złapała okulary, przycisnęła do piersi zawiniątko z ubraniem - ostatni ślad utraconej godności, i najszybciej jak umiała, dopadła drzwi, żeby Jed nie zobaczył łez na jej policzkach. Ale już na schodach nie była w stanie powstrzymać się od płaczu.

Jed stał w oknie i patrzył, jak Gussy biegnie pomiędzy drzewami, żeby schronić się przed nim w domu. Percy kłusował obok z ogonem powiewającym jak złota chorągiewka i podskakiwał, gotowy do zabawy, z niebieską zabawką w pysku, ale ona nie zatrzymała się ani na chwilę.

Zwolniła kroku dopiero, kiedy dotarła do wielkiego trawnika. Przez chwilę widział ją jeszcze, jak szła zgarbiona, ze zwieszoną głową. Z trudem powstrzymał się, żeby jej nie zawołać.

Ale przecież nie mógł tego zrobić. Nawet teraz, kiedy po chwili zastanowienia uznał, że Gussy musi żywić do niego prawdziwe uczucia. Ślub z Andrewsem Lowellem dawał jej znacznie łatwiejszą przepustkę do niezależności, a tymczasem ona wybrała jego, Jeda, co narażało ją na kłopoty i konfrontacje z rodziną. Nie jest wart takich ofiar. Chyba że Gussy go kocha.

Jak jest naprawdę? Co do niego czuje? Nie powiedziała ani słowa, ale przecież reagowała z pasją, która nie mogła być udawana. Z drugiej strony, po doświadczeniach z Julią nigdy nie zgodziłby się na małżeństwo wykalkulowane na zimno. Za nic na świecie!

Bardzo brutalnie odrzucił propozycję Gussy, ale miał rację! Skoro jednak miał rację, dlaczego było mu tak smutno?

Potrząsnął głową i poszedł do łazienki, tylko gorący prysznic może poprawić mu nastrój.

W kabinie prysznicowej nie tylko nie było mydła. Nie było *też* mydelniczki.

Przez następne dwa dni Gussy snuła się po domu przygnębiona i całą energię skupiała na wymyślaniu coraz to nowych Wymówek, kiedy Babka na różne sposoby próbowała doprowadzić do jej spotkania z Andrewsem.

Dobrze wiedziała, że unikanie konfrontacji nie jest skuteczną metodą, potrzebowała jednak trochę czasu, żeby znaleźć w sobie odwagę, która pozwoli jej stawić czoło nieuniknionemu.

W tajemnicy przed wszystkimi zaczęła przeglądać ogłoszenia o pracy, ale jedyne zajęcia, które oferowano w Sheepshead Bay, polegały na sprzedawaniu lodów albo pamiątek w nadmorskich sklepikach. Zresztą i te posady były zajęte przez nastolatki.

Pozostawały kontakty osobiste. Zaczęła od linka Padgetta, mimo obaw, że ewentualna praca w jego szklarniach może narazić ją na spotkania z Jedem. Jednak Tink zmierzył ją tylko od stóp do głów niedowierzającym spojrzeniem i kazał zjawić się wiosną.

Pierwsza rozmowa była najtrudniejsza. Potem poszło łatwiej. Gussy objechała okoliczne szkółki i kilka mniejszych firm projektujących ogrody, powtarzając sobie z satysfakcją, że do*brze* byłoby znaleźć pracę u konkurentów Jeda. Kiedy się nie udało, wzięła głęboki oddech i zdecydowała się na złożenie oferty u Havershama & Hopewella, jedynej dużej i liczącej się w okolicy pracowni projektowej zajmującej się terenami zielonymi.

Miała pecha. Przyjął ją sam Izaak Hopewell, którego nie raz i nie dwa widywała na różnorakich imprezach dobroczynnych. Izaak był znany ze złośliwości i ostrego języka. Na pewno zauważył, że drżą jej ręce, kiedy wręczała mu podanie oraz CV.

Przejrzał je nieuważnie, a kiedy natrafił na nazwisko Throckmorton, zamrugał oczami i odesłał ją do domu z sugestią, żeby zajęła się układaniem bukietów i opieką nad miejskimi skwerkiem.

Gussy postanowiła usunąć z podania nazwisko Throckmor ton, kiedy następnym razem będzie starać się o pracę. Nie zamierzała rezygnować. Po spotkaniu z Hopewellem była wściek ła. To dobrze. Znacznie lepiej jest się złościć, niż rozpamiętywać miłosny zawód.

Tylko w nocy pozwalała sobie myśleć o Jedzie i za nim tęsknić. Mimo ciągłych porażek wciąż miała cień nadziei, że jej się uda. Jed wierzył, że będzie dalej próbować. Wiedziała o tym, bo co wieczór znajdowała na poduszce jeden świeży kwiat.

A jednak czasami drętwiała ze strachu na myśl, że nigdy już nie znajdzie się w jego objęciach.

Pomysł pracy u Beatrice Hyde zawdzięczała Gussy Babce, która do znudzenia powtarzała, że sztamowe róże pani Hyde nie mają sobie równych.

Kiedy Gussy zaczęła pytać, okazało się, że owszem, pani Hyde jest profesjonalistką, seniorką w branży. Dwadzieścia pięć lat temu każdy właściciel domu w stanie Maine zrobiłby wszystko, żeby to ona zechciała zaprojektować mu ogród.

Gussy przez dwa dni nosiła się z pomysłem spotkania z nią. Potem uznała, że nie ma nic do stracenia. Co więcej - była to jej ostatnia szansa. Przyrzekając sobie, że łatwo nie zrezygnuje, wyruszyła na poszukiwanie domu Beatrice Hyde.

Kiedy stanęła przed oryginalnym szesnastowiecznym wiejskim domem krytym strzechą, nie mogła ochłonąć z zachwytu. Dookoła domu ciągnął się ogród - nie jakiś tam zwyczajny . trawnik otoczony krzewami, ale prawdziwy ogród - szaleństwo

barw i kształtów, z malwami wyższymi od niej, słonecznikami wielkości sporego półmiska i bluszczem o łodygach grubszych niż jej nadgarstek.Beatrice Hyde musiała być czarodziejką.

Kręta ścieżka wyłożona kamieniami doprowadziła ją pod drewniane z gruba ciosane drzwi. Musiała zapukać kilka razy, zanim usłyszała, że ktoś poruszył się w środku. Rozległ się cienki jazgot i drzwi się uchyliły.

- Nie jestem zainteresowana - warknęła Beatrice Hyde.
- Ależ ja nie jestem... - Gussy nie zdążyła dokończyć, bo drzwi zatrzasnęły się tuż przed jej nosem.

Nie,nie odejdzie. Przyrzekła to sobie. Zapukała jeszcze raz kiedy tylko klamka drgnęła, zaczęła mówić.

- Niczego nie sprzedaję. Nazywam się Augustyna Fairchild jestem sekretarzem Towarzystwa Ogrodniczego w Sheepshead Bay,ale nie z tego powodu tu przyjechałam.Chcę dać pani sposobność.. - speszyła się, bo zabrzmiało to bardzo niegrzecznie- hm... zaproponować pani... powrót na ogrodniczą scenę. I nie musi pani nic robić. Wszystko zrobię ja.

Beatrice Hyde schyliła się, żeby wypuścić małego pudla, którego trzymała na rękach. Potem wyprostowała się i spojrzała na Gussy z góry, co przyszło jej z łatwością, jako że była o głowę wyższa. I o co najmniej trzydzieści kilogramów cięższa od Gussy.Poza tym była siwa, miała duży, haczykowaty nos i niewielki garb.Jej sposób bycia sprawiał, że mimo prostych, sportowych butów i tweedowego żakietu wypchanego na łokciach nosiła się po królewsku.

- Wciąż nie mogę zrozumieć,co skłoniło panią, panno Fairchild- czy dobrze zapamiętałam?- do przypuszczeń,że ja tego chcę.Zapewniam panią,że powrót do ogrodnictwa nie jest mi wcale potrzebny do szczęścia.Chwyciła za klamkę,żeby zamknąć drzwi.

- Rozumiem panią bardzo dobrze... - zaczęła Gussy, gorączkowo szukając argumentów.

Ego, pomyślała. Odwołaj się do jej *ego*.

- ... ale kto by odrzucił szansę ostatniego, triumfalnego zwycięstwa? Nawet Jellicoe bierze udział w tym przedsięwzięciu.

Gussy wstrzymała oddech. Ciszę przerwało parsknięcie pani Hyde.

- I co to za przedsięwzięcie? - zapytała, otwierając szeroko drzwi. - Najprawdopodobniej nic wielkiego, skoro ten stary dureń Jellicoe jest w to zaangażowany.

Gussy weszła za nią do środka i opowiedziała o projekcie rekonstrukcji trzystuletniego domostwa pierwszych osadników i otaczającego je ogrodu. O udziale Jellicoe w komisji oceniającej projekty dowiedziała się przez swoje znajomości w Towarzystwie Ogrodniczym. Wolała skłamać, niż przyznać, że wie to od ucznia samego Jellicoe.

- Czy jest pani świadoma, panno Fairchild - powiedziała Beatrice Hyde cierpko, wprowadzając ją do zagraconego salonu - co Broad sądzi o kobietach zajmujących się profesjonalnie ogrodami?

Gussy skinęła głową.

- Chętnie przy tarłabym nosa temu nieznośnemu zarozumialcowi, ale boję się, że to strata czasu. - Pani Hyde wzruszyła ramionami.

- Jellicoe ma tylko jeden głos.

- Czy pani naprawdę myśli, że ktokolwiek w komisji odważy się sprzeciwić jego wyborowi?

- Nie dowiemy się, jeśli nie spróbujemy. - Gussy sama zdziwiła się, skąd w jej głosie taka stanowczość.

- Jest w tobie duch walki, młoda damo. Chociaż prawdopodobnie skierowany w niewłaściwą stronę.

Mimo surowego tonu, w oczach Beatrice Hyde Gussy za-

Łażyła błysk zainteresowania. A może to była zwykła złośliwość? I nagle usłyszała słowa, w których sens na początku nie mogła uwierzyć:

- Ale chciałabym usłyszeć, co ci chodzi po głowie, panienko.

- Ukradłaś mi mydło - rozległ się gruby głos tuż przy uchu Gussy.

Podskoczyła przerażona. Zupełnie dosłownie znalazła się nad ziemią. Lądując, wzbiła w powietrze fontanny żwiru i boleśnie wbiła łokcie w żebra Jeda. Co mu się słusznie należało za podejście jej tak znienacka. Potem plecami uderzyła w drzwi furgonetki i zamknęła je z hukiem.

Co? - zapytała zdumiona, ale zaraz potem poprawiła się, biorąc za wzór wyniosły styl bycia pani Hyde, któremu miała okazję przypatrywać się przez dwa minione dni. - Czy zechciałbyś powtórzyć, co powiedziałeś?

- Ukradłaś moje mydło. W każdym razie zniknęło po… tamtej nocy. I dzisiaj znowu. - Jed uśmiechnął się z przymusem. A przecież dzisiaj też byłaś w wozowni, prawda?

została przyłapana na gorącym uczynku.

- Ja tylko… Godfrey potrzebował kilku przypraw,które tam zostawiłam. Babka zaplanowała na dziś wieczór jakiś szalenie wymyślny obiad i dlatego rano, rzeczywiście, weszłam do twojego mieszkania. Sprawdziłam, że nie ma cię w domu... To trwało nie dłużej niż dziesięć sekund. Niczego nie dotykałam - nie powie mu oczywiście, jak bardzo chciała dotknąć jego rzeczy - i niczego nie ukradłam!

Po czym, pamiętając o zachowaniu godności, uniosła wysoko głowę i dorzuciła:

- A już na pewno nie wzięłam twojego mydła!

- Ale go nie ma.

- Wcale się nie dziwię. Pewnie spuściłeś je do kanalizacji Jeśli ktoś używa takich tanich, byle jakich hotelowych mydeł...

I mimo że na jego widok dostała gęsiej skórki, mimo że wargi miała suche z pożądania, a kolana miękkie jak wosk, złap Ja stos książek, które kazała jej przeczytać pani Hyde, dorzuciła na wierzch wiązkę mieczyków oraz lwich paszczy, i odmaszerowała jakby nigdy nic. Jakby nie kochała się z Jedem zaledwie osiem dni i dziewiętnaście godzin temu, z możliwością pomyłki do trzydziestu minut w jedną lub drugą stronę.

Jed odebrał jej część książek i poszedł za nią.

Trzyma się blisko, pomyślała, żebym nie mogła zatrzasnąć drzwi na jego nosie. Ale przecież nie złościła się na niego aż tak, żeby łamać mu nos, który i tak był już złamany i nastawiany.

Poza tym byli teraz kolegami po fachu, w pewnym sensie oczywiście, a ją stać było na okazanie mu zawodowego szacunku.

Popatrzyła na niego spod oka. Wyglądał czerstwo i zdrowo, ale wokoło ust pojawiły mu się zmarszczki, których przedtem nie zauważyła.

I nic nie mówił, co było bardzo deprymujące. Przyglądał się jej swoimi niebieskimi oczami z uwagą i intensywnością, która ożywiłaby niejednego Frankensteina. Nie była w stanie wytrzymać jego wzroku. Bała się, że gdyby odrzucił ją jeszcze raz, nie zniosłaby tego.

Zostawiła książki na stoliku w holu i stała, nieruchomo przyciskając kwiaty do piersi. Jed zaczął odczytywać tytuły grubych tomów. *Kompletny zielnik Culpeppera, Przydomowe ogrody w średniowiecznych gospodarstwach. Poradnik.*

- No, no! Czyżbyś robiła projekt jakiegoś ogrodu?

Traktował ją protekcjonalnie, nie miała co do tego wątpliwości.

- Musisz wiedzieć, że pracuję teraz zawodowo - oznajmiła

lodowatym tonem i zabrała się do odejścia, mimo że dałaby wszystko za kilka słów wsparcia i zachęty z jego strony.

- Gussy, zaczekaj.

- Muszę wstawić kwiaty do wody - mruknęła i nie odwracając się, wpadła do spiżarni. Wrzuciła kwiaty do głębokiej, kamiennej umywalni i odkręciła kran na cały regulator. Jed natychmiast zmniejszył strumień wody, czym uratował kwiaty od zniszczenia. Potem zaczął układać je delikatnie w zlewie.

Gussy obserwowała jego dłonie. Nie pamiętała już, dlaczego tak się złościła. Myślała tylko o tym, że jeszcze niedawno podobnie delikatnymi ruchami rozpalił do białości jej ciało...

- Gussy? Opowiesz mi o tym?

Z trudem oderwała oczy od jego rąk. Wzięła głęboki oddech i zapatrzyła się na półki.

- Mam pracę.

Nie przyznała się jednak, że nie dostanie żadnego wynagrodzenia, dopóki nowa wersja ogrodu firmy Beatrice Hyde nie znajdzie pierwszych nabywców.

To wspaniale! - Nie było wątpliwości, że Jed szczerze się cieszy. -Gratuluję.

Nie ciesz się zbyt wcześnie, bo będziemy konkurentami. Stajemy do konkursu na ogród w Pequot.

- Stajemy? - Włożył do wody ostatni kwiat i popatrzył na nią zaciekawieniem.

- Jestem asystentką Beatrice Hyde.

- Beatrice Hyde? - Zdziwiony potrząsnął głową. - Myślałem, że jest na emeryturze.

- Nie całkiem.

- Ho, ho, ho!

- Nie jesteś zły?

- Skądże. Życzę ci powodzenia. Niech lepszy projekt wygra.

Gussy była troszeczkę rozczarowana. Z drugiej strony jednak

okazało się, że jest w stanie z nim rozmawiać. Może kiedyś spotkają się jak równy z równym?

- Czy to znaczy, że... że jesteśmy...

- Jesteśmy...? - powtórzył niskim głosem, czekając, aż do kończy.

- ...znowu przyjaciółmi?

- Nie. - Pokręcił głową.

Jak to? Czyżby znowu się pomyliła?

- Jesteśmy kochankami. - Jed uniósł dłonią jej brodę i zmusił, żeby spojrzała na niego. - Nigdy nie przestaliśmy nimi być.

Patrzył na nią z takim oddaniem, że nie mogła powstrzymać łez.

- Nie zauważyłam, żebyśmy nimi wciąż byli - mruknęła.

- Mało znacząca przerwa. - Przyciągnął ja do siebie. - Za raz to naprawimy.

- Bardzo tego pragnę — szepnęła, wdychając jego zapach znajomy i wytęskniony.

- Przepraszam, że zrobiłem ci przykrość... - Delikatnie pieścił jej kark i plecy.

- Teraz wiem, że ja też uraziłam twoje uczucia. Mogłeś zrozumieć, że chcę cię kupić. Tak jakbym zakładała z góry,że jesteś interesowny i kierują tobą nieczyste pobudki.

- Ale - Jed zbliżył usta do jej twarzy - moje pobudki są najzupełniej oczywiste.

Gussy zamknęła oczy. Jeden mały ruch i pocałuje ją. Będą się całować długo i namiętnie. Marzyła o tym przez ostatnie osiem dni i dziewiętnaście godzin.

Wtedy na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Ktoś szedł albo do spiżarni, albo do kuchni.

- Godfrey! -jęknęli oboje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ucieczka i pościg

- Chodź! - Jed chwycił ją za rękę i pociągnął do kuchni, w **której** dogotowywał się obiad.

- Ale tutaj zaraz pojawi się Godfrey - szepnęła Gussy.

Wycofali się na palcach, a ponieważ kroki były coraz głośniejsze, Gussy wepchnęła Jeda do sąsiedniego pomieszczenia, całkiem ciemnego i tak małego, że musiał to być jakiś schowek lub kredens.

Jed po ciemku próbował wymacać ścianę, ale zamiast tego trafił na rękę Gussy.

- Nie ruszaj się. To kredens z porcelaną.

Chciał zapytać,dlaczego się chowają,ale uznał, że zabaw---j będzie ciągnąć tę grę, która - prowadzona przez Gussy Fairchild w jej nowym wydaniu - stawała się coraz bardziej podniecająca.

Kiedy oczy przywykły mu do ciemności, dostrzegł, że z trzech stron otaczają ich półki z naczyniami,wysokie aż po sufit, Nie najlepsze miejsce na miłosną schadzkę.

- Pocałuj mnie - szepnęła Gussy, pewna, że stukanie ciężkich butów Godfreya zagłuszy jej głos. - Tylko niczego nie stułcz.

- Czy to można stłuc? - zapytał Jed, obejmując od razu miękką, okrągłą półkulę jej piersi.

Nie bez powodu w drużynie mówiono, że nigdy nie chybia celu.

- Nie, tego nie można stłuc.

- A to? - Przesunął językiem po jej wargach.

- Jed! -jęknęła. - Pocałuj mnie.

Już, już Jed miał posłuchać jej prośby, kiedy tuż za drzwiami odezwał się kobiecy głos:

- *Zaraz* zabiorę się do nakrywania stołu.

- O Boże! - Gussy drgnęła i wbiła palce w jego ramię. - To Helmi, nasza gospodyni. Jeśli nas tu przyłapie, od razu naskarżj Babce. Co teraz zrobimy?

- Mogę stłuc talerz, a ty będziesz udawać, że udzielasz mi nagany - zachichotał.

Ale tym razem Gussy nie kupiła żartu. Stała, cała spięta, i nasłuchiwała, co dzieje się w korytarzu. Na szczęście głosy oddaliły się. Najwyraźniej Godfrey i Helmi przeszli do spiżarni. Gussy wzięła głęboki oddech. Wypadła na zewnątrz i rozejrzawszy się na boki, przebiegła na ukos przez obszerny hol w kierunku głównego salonu. Jedowi nie pozostało nic innego, tylko biec za nią.

- Nikt tutaj nie wchodzi - powiedziała.

Jed zamknął za nimi drzwi.

- Oprócz Thwaite'a - wymruczała, kiedy uniósł jej włosy i pocałował w kark.

- Nie wymieniaj przy mnie jego imienia, bardzo cię proszę.

Gussy zaśmiała się. Nagle poruszyła się klamka przy drzwiach wiodących do oranżerii. Spojrzeli w tamtą stronę. Za firanką, po drugiej stronie szklanej szyby, rysowała się sylwetka Thwaite'a. Gussy zatkała ręką usta.

- Można powiedzieć, że mamy pecha. -Jed wypchnął ją do znowu do holu.

Chciał wyprowadzić ją na dwór, do wozowni, ale nie zdążył,

bo pociągnęła go na górę. Przystanęli na podeście pierwszego piętra.

-To są drzwi do pokoju pradziadka, następne są do mojej sypial**ni.**

- Myślisz, że nam się uda? - Próbował ocenić odległość.

- Nie mamy wyjścia. - Pociągnęła go za sobą.

Zdążyli zrobić trzy kroki, kiedy pierwsze drzwi otworzyły się

-To Schwarthoff! - zawołała Gussy i puściła się pędem przed siebie.

Wpadli do jej pokoju i zaśmiewając się, zamknęli za sobą drzwi, zatrzaskując je mocniej, niż potrzeba. Potem Gussy zablokowała klamkę, a Jed sprawdził dwa razy, czy zamek trzyma.

- Udało nam się - powiedziała z ulgą.

- Jeszcze nie wszystko nam się udało. Ale zaraz to naprawi-

- Jed rzucił znaczące spojrzenie na jej łoże z baldachimem.

- Tutaj?! W domu mojego pradziadka?

Ale Jed widział, że pomysł bardzo jej się spodobał.

- Nie musi o niczym wiedzieć, prawda? - Jed zrobił krok jej stronę.

- Chyba że zechcę, żeby wyrzucili mnie stąd na dobre.

- Niezły pomysł. Mogę zachowywać się bardzo głośno.

- Jed, nie. Obiecaj mi, że będziesz cichy jak myszka.

Oparł ją plecami o drzwi.

- Nie mam zamiaru się kontrolować, kiedy jesteś obok. - Zanurzył twarz w jej jedwabiście gładkie włosy. - Mogę ci tylko obiecać, że zrobię wszystko, żebyś musiała gryźć się w język.

- Co? - zapytała półprzytomnie z twarzą wtuloną w jego pierś.

Próbowała wydostać się z jego objęć, żeby zrozumieć, co powiedział, ale nie mogła. Albo nie chciała, widząc, że Jed zbliża usta do jej twarzy.

- Zrobię wszystko, żebyś krzyczała z rozkoszy - wyjaśnił patrząc na nią wyzywająco.

I dotrzymał obietnicy.

- No, to teraz będę miała kłopoty! - powiedziała dziesięć minut później, po tym jak siostra Schwarthoff zapukała do drzwi, pytając surowo, czy Gussy jest chora, czy po prostu zupełnie bezmyślnie narusza święty czas drzemki jej pradziadka

Owinięta w koc jak w togę popatrzyła na Jeda, który zaśmiał się cicho i połaskotał ją w piętę.

- Zrobiłeś to specjalnie! - Udała, że patrzy na niego z wyrzutem.

- Nie wiedzą, co usłyszeli. Ściany są za grube.

- Może i tak, ale lepiej będzie, jeśli zaraz stąd wyjdziesz. Gdyby ktoś cię zauważył, zaraz domyśliłby się wszystkiego.

- Ładne rzeczy! Wykopujesz mnie z łóżka.

Gussy odrzuciła koc i wyciągnęła się obok niego.

- Za piętnaście minut Babka przyśle tutaj Thwaite'a, żeby poinformował mnie, że spóźniłam się na obiad.

- Powiedz mu, że masz randkę, i oboje wymkniemy się stąd do mnie do wozowni.

- Nie mogę - westchnęła z żalem. - Ostatnio opuściłam tyte posiłków, że Babka gotowa pomyśleć, że zapadłam na anoreksję.

- Masz tyle pracy u Beatrice Hyde? - zdziwił się.

- Nie. Unikam spotkania z Andrewsem. Babka zastawiła sidła i na pewno kazała już, żeby mi się oświadczył. Pamiętasz ultimatum pradziadka?

- Po prostu powiedz „nie". - Jed uniósł się na łokciu i spojrzał na nią badawczym wzrokiem. - Nie rozumiem, co w tym trudnego.

Gussy wtuliła głowę w poduszkę. Wiedziała, że kolejny raz sprawia Jedowi zawód.

- Nie znasz pradziadka. Nawet nie wiesz, jak trudno mu się przeciwstawić.

- Może powinienem pójść do niego i poprosić o twoją rękę?

Nie wiedziała, czy Jed żartuje, czy mówi poważnie.

- Zrobiłbyś to? - zapytała z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

Nie odpowiedział. Zmitygowała się bardzo szybko.

- Masz rację. Chodzi o to, żeby samemu sobie radzić. - Westchnęła ciężko i dodała: - Albo chociaż próbować.

- Jesteś teraz niezależną dziewczyną u progu zawodowego sukcesu, a więc to nie będzie trudne.

- Niezależna dziewczyna u progu zawodowego sukcesu - powtórzyła, sięgając po sukienkę.

Nie dało się jej włożyć. Była beznadziejnie pogniecio-na. Gussy narzuciła szlafrok, świadoma, że Jed śledzi każdy jej ruch.

Tak. Jed zasłużył na kobietę, która naprawdę będzie jego partnerką - zaradną, samodzielną i pewną siebie. Na kobietę, która poślubi go dlatego, że ma na to ochotę, a nie dlatego, że musi. Tymczasem Gussy, pomimo starań, wciąż nie bardzo mia-ła czym się pochwalić. Owszem, udało się jej przekonać panią Hyde, żeby zechciała z nią współpracować, ale to nie była po-ważna posada.

Dobrze byłoby wygrać konkurs na rekonstrukcję ogrodu w Pequot. Każdy musiałby przyznać, że jest to nie byle jakie osiągnięcie.

Jednak z drugiej strony wygrana oznaczałaby sprzątnięcie Jedowi kontraktu sprzed nosa. Jak by się wtedy czuł? Czy nie byłby na nią wściekły?

Zerknęła na niego badawczo.

- Jed?

Wciągał właśnie dżinsy. Zabawne. Kiedy zobaczyła Jeda

pierwszy raz, też podziwiała jego zgrabne pośladki. Nawet stała tu, przy oknie, zupełnie jak dzisiaj. Ta sama, a jednak inna. Zdała sobie nagle sprawę, że przez te kilka tygodni bardzo się zmieniła. Potrzebę zmiany czuła od dawna, ale dopiero Jed okazał się wspaniałym bodźcem do działania.

- Czy pamiętasz, co mówiłam wtedy... no wiesz, kiedy powiedziałeś, że jesteśmy kochankami? - zapytała.

- No? - Stanął za nią i skrzyżował ręce na jej brzuchu.

- O tym, że chcę, żebyśmy także byli przyjaciółmi?

- Oczywiście - odpowiedział nieuważnie, gdyż właśnie zsunął z niej szlafrok i zabrał się do całowania jej ramienia. - Przecież nimi jesteśmy.

- A gdybym to ja dostała pracę w Peąuot? Nadal będziemy przyjaciółmi?

- Jasne. - Poklepał ją po pupie.

Była niezadowolona, że nie traktuje jej słów poważnie. Odepchnęła jego dłonie i odwróciła się do niego twarzą.

- Mówisz tak, jakbyś z góry uznał, że mam jedną szansę na milion.

- Kochanie, ja też mam jedną szansę na milion w porównaniu z Havershamem & Hopewellem i kilkoma innymi znanymi firmami, które stają do konkursu.

Rozległo się pukanie.

- Panno Augustyno! Obiad! - odezwał się Thwaite głosem, w którym pobrzmiewała lekka groźba.

Słysząc ten ton, zwykle wpadała w popłoch. Dzisiaj nie przejęła się nim zupełnie.

- Pilnuj własnego nosa, Thwaite - warknęła.

- W rzeczy samej, panienko - odpowiedział szyderczo, dając wyraźnie do zrozumienia, że on wie, jakie to hałasy dochodziły z jej sypialni.

Dawna Gussy drżałaby już, przerażona, że Thwaite doniesie

o wszystkim Babce. Nowa Gussy miała to w nosie. Wolała załatwić sprawę z Jedem.

- Nie traktujesz mnie poważnie.

- Traktuję cię bardzo poważnie. - Spojrzał na nią zdziwiony.

- Może w łóżku tak, ale kiedy rozmawiam z tobą o pracy, czuję się, jakbyś poklepywał mnie protekcjonalnie po ramieniu i mówił: „Świetnie, maleńka, że znalazłaś sobie zajęcie. Przynajmniej nie będziesz się nudzić".

- Jesteś niesprawiedliwa, Gussy. Przecież to ja cię zachęcani do podjęcia pracy.

- Ale ja chcę być dobra. Wiem, że mogę być dobra!

- Gussy! - westchnął. - Dlaczego zaczynasz kłótnię?

- Nieprawda! - Podparła się pod boki. - Muszę wiedzieć, naprawdę myślisz.

- Zgoda. - Powtórzył jej ruch, a Gussy całą siłą woli zmusiła się, żeby nie patrzeć na jego szczupłe biodra. - Ty jesteś nowa w branży. Beatrice Hyde nie pracowała czynnie co najmniej od dziesięciu lat. I o czym tu myśleć?

- Na pewno uważasz, że sam masz zwycięstwo w kieszeni, Jako pupilek Jellicoe...

- Mówiłem ci już, że tak nie jest. Ale wierzę, że wygra najlepszy projekt. A co do Jellicoe - wzruszył obojętnie ramionami - nie mam żadnego wpływu na jego opinię. On i tak zawsze robi to, co chce.

W Gussy obudził się duch walki, którego istnienia nigdy w sobie nie podejrzewała.

- Przekonam cię, że potrafię, i wygram ten konkurs!

Jed miał czelność roześmiać się na takie *dictum*. Nie wytrzymała. Zapomniała o zdrowym rozsądku. W pierwszym porywie złości otworzyła na oścież drzwi i wyrzuciła go na korytarz tak, jak stał - bosego i z nie dopiętą koszulą. Potem, dla wzmocnię-

nia efektu, podniosła z podłogi jego buty i cisnęła je, jeden po drugim, w piwonie rosnące pod oknem.

Od razu poczuła się lepiej.

Termin składania projektów na konkurs zbliżał się szybko i nieubłaganie. Zbyt szybko, jeśli chodzi o Gussy. W domu *mówiło* się też o jej dwudziestych piątych urodzinach, ale to **ob**chodziło ją niewiele. Cały czas spędzała w towarzystwie Beatrice Hyde, wędrując z nią po okolicy i wysysając z niej wiedzę z żarliwością, która dziwiła ją samą.

Pewnego dnia starsza pani wymogła na niej przysięgę, że dotrzyma sekretu, i zdradziła jej tajemnicę „martwego królika". Gussy wykopała właśnie bruzdę, w którą miała wsadzić cebule wczesnowiosennych kwiatów, kiedy Beatrice wrzuciła w rowek martwego królika. Gussy o mało nie zemdlała, słysząc, że w płóciennych woreczkach dostarczanych regularnie przez Tinka Padgetta i składanych w szopie na narzędzia, znajdują się zwierzęta zabite przez myśliwych.

Odwiedziły też razem zrujnowane zabudowania w Peąuot. Przez całe dwie godziny Gussy trzymała ciężki parasol nad głową Beatrice, która, węsząc jak chart, wsadzała nos we wszystkie kąty, oglądała każdy zdziczały krzak i zbadała drzewo po drzewie cały zaniedbany sad. Okazało się, że w Peąuot nie ma wcale roślin, które uprawiano tam przed trzema wiekami.

Już wtedy w głowie Gussy powoli zaczął kiełkować pierwszy zarys tego, co zrobi. Po powrocie do domu do późna w nocy ślęczała nad starymi ogrodniczymi podręcznikami. Miała nadzieję, że Beatrice Hyde zaakceptuje jej pomysł.

Marian Throckmorton nie próbowała nawet ukrywać, że irytuje ją ciągła nieobecność wnuczki. Poza tym uznała za wysoce niestosowne, żeby nie powiedzieć - gorszące - to, że Gussy

wraca do domu w zabłoconych butach, z brudnymi paznokciami oraz że wymawia się od spotkań z miłymi, młodymi ludźmi, twierdząc, że jest zmęczona albo zapracowana. Gussy kiwała głową z nieśmiałym uśmiechem, a potem robiła swoje, co zmusiło Marian do kolejnej konferencji z Eliaszem. Ku jej wielkiemu zdziwieniu senior rodu uznał, że nie ma się czym martwić, musiała więc przyjąć jego werdykt. Pocieszała się myślą, że panieńska wolność Gussy już niedługo się skończy. Andrews Lowell i jego szacowna rodzina w odpowiednim czasie przykrócą jej wodze i przejmą kontrolę nad jej zachowaniem, dokładnie tak samo jak przed laty zrobili to drogi mąż Marian oraz jej surowy teść.

W tym tygodniu temperatura stosunków łączących Gussy i Jeda wahała się od gorącej po letnią. Nigdy jednak nie zeszła do poziomu, który można by zakwalifikować jako chłodny, mimo że Jed dawał czasami do zrozumienia, że wolałby, żeby Gussy nie próbowała równocześnie zadowolić jego i swoich dziadków. Ona jednak wciąż nie była gotowa do podjęcia ostatecznej decyzji.

Nie narzekał zbyt często. Nowa Gussy, jak sama lubiła siebie nazywać, tryskała energią i pasją życia. Kiedy zaczynała mówić o pracy, nie mogła się pohamować. Ubrana tylko w podkoszulek Jeda biegała po mieszkaniu, z Percym nie odstępującym jej ani na krok, i wymachując rękami, opowiadała o wszystkim, czego się nauczyła. Trajkotała jak katarynka, zupełnie bez opamiętania, dopóki Jed nie wybuchał śmiechem, kpiąc z jej entuzjazmu, czym nieodmiennie doprowadzał ją do szału.

Krzyczała na niego wtedy i rzucała się z pięściami, a on, broniąc się przed napaścią, niósł ją na łóżko, gdzie zawsze dochodzili do porozumienia. Było to tak cudowne, że Jed wprost nie mógł się doczekać kolejnego ataku złych humorów Gussy.

Coraz częściej jednak Gussy przepadała na dłużej, zajęta pracą nad projektem, który kończyła w absolutnej tajemnicy, Całymi dniami przeglądała grube, śmierdzące stęchlizną foliały i nic nie było w stanie zwabić jej do wozowni. W takich chwilach Jed zastanawiał się, czy aby nie przesadził, namawiając ją do podjęcia poważnej pracy, wydawało się bowiem, że ta dziewczyna nie zna umiaru!

Pojawiała się jednak zawsze wtedy, kiedy zaczynał wątpić w jej przywiązanie, i uspokajała pocałunkiem, a potem brała go za rękę i prowadziła do łóżka. Tam już przestawał się martwić, co będzie, kiedy komisja ogłosi wyniki i Gussy przegra.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Właściwe pytanie, właściwa odpowiedz, właściwy mężczyzna

Prezentacja projektów odbywała się w sali konferencyjnej niewielkiego ratusza w Peąuot. Członkowie komisji z surowymi minami zasiedli dookoła długiego stołu, przodem do gigantycznych rozmiarów telewizora, skomplikowanego magnetowidu i kilku ekranów, które wnieśli na salę przedstawiciele Havershama & Hopewella.

Do ostatecznej konfrontacji dopuszczono czterech finalistów. Jed był jednym z nich. Oprócz Havershama & Hopewella w rywalizacji brała udział druga wielka spółka projektowa o nazwie Environmentalia, mająca swą siedzibę nie w Sheepshead Bay, ale w drugim końcu stanu Maine. Fakt dopuszczenia do ścisłego finału oferty Beatrice Hyde zadziwił wszystkich. Powszechnie uważano jednak, że jest to kurtuazyjny gest wobec miejscowej firmy, prowadzonej przez nestorkę w branży ogrodniczej. Nikt nie obawiał się konkurencji z tej strony.

Jed wystąpił jako pierwszy. Zaczął od krótkiego rysu historycznego ilustrowanego przezroczami, w którym opowiedział, jak wykorzystywano naturalną scenerię w projektowaniu ogrodów krajobrazowych. Przedstawił też próbki swoich poprzednich prac, po czym gładko i efektownie zaprezentował własną wizję renowacji gruntów otaczających stare gospodarstwo w Pe--uot. Jego precyzyjnie wymyślony plan opierał się na wykorzystaniu istniejącego sadu oraz stopniowym dosadzaniu nowych

roślin w miarę postępu prac przy rekonstrukcji domu i budynków gospodarczych. W efekcie powstałby ogród o wielu przenikających się perspektywach widokowych.

Jed łatwo poradził sobie z pytaniami komisji, chociaż widać było, że nie zna się na siedemnastowiecznych ogrodach tak, jak powinien.

Jellicoe siedział nieruchomo, jeśli nie liczyć chwil, w których skubał swoje sterczące, siwe wąsy, i milczał. Kilka razy podczas prezentacji Jed zauważył, że mistrz zerka w kierunku konkurentów, co nie wróżyło niczego dobrego.

- Bardzo w typie Jellicoe - szepnęła mu do ucha Gussy, kiedy wrócił na swoje miejsce w ostatnim rzędzie. - Wydaje mi się, że jest pod wrażeniem.

- Dzięki - mruknął.

Ludzie z Environmentalia skupili się na stworzeniu w Pequot rezerwatu zwierząt, natomiast H & H zaprezentowali zebranym wideokasetę w typie teledysków MTV, z muzyką i kolorowymi obrazkami, ale nieco pozbawioną konkretnych treści. Isaak Hopewell opowiadał głównie o niedoróbkach i błędach popełnionych w okolicy przez innych projektantów. Beatrice Hyde wzruszyła ramionami i mruknęła coś Gussy do ucha.

- Panno Fairchild! Prosimy! - Tubalny głos Jellicoe zabrzmiał jak syrena okrętowa.

Z jego tonu wynikało, że podczas wstępnych spotkań musiał ją ponaglać nie raz i nie dwa.

Gussy drgnęła gwałtownie i podniosła głowę.

- Jedną chwilę, przepraszam pana. - Zaczęła pospiesznie zbierać swoje skoroszyty, szkice i kolorowe rysunki techniczne.

- Ależ proszę bardzo. Poczekamy, panno Fairchild - odpowiedział, nie kryjąc ironii.

Beatrice Hyde oparła laskę o podłogę. Zacisnęła wykrzywione palce na srebrnej gałce i wbiła w Jellicoe groźne spojrzenie.

Mistrz zamrugał oczami i zaczął skubać swoje krzaczaste wąsy, powstrzymując się od dalszych komentarzy.

Jed zerknął na Gussy, która wychodziła właśnie na środek sali. Miała na sobie elegancki brązowy kostium z obcisłą, krótką spódnicą. Włosy splecione we francuski warkocz uwydatniały jej długą szyję. Wyglądała nie tylko pięknie, ale również kompetentnie. Tylko twarz - blada jak papier - zdradzała, że bardzo się denerwuje.

Zaskoczyło go, że to Gussy prezentować będzie projekt. Dobrze wiedział, że ona wykonała większość prac, ale przecież nie miała ani zawodowego przygotowania, ani doświadczenia w publicznych występach.

Powodzenia! powiedział w myślach, obserwując uważnie, jak Gussy ustawia na sztalugach pierwszy rysunek - plan prostego ogrodu wykonany kolorowymi kredkami - i z promiennym uśmiechem wręcza wszystkim członkom komisji po grubym, zielonym skoroszycie.

Nie zaczęła tak błyskotliwie jak ludzie z Environmentalia, nie korzystała z żadnych elektronicznych zabawek, jak projektanci z H&H, ale był w niej szczery, młodzieńczy entuzjazm, którego tamtym brakowało. Jed podziwiał jej naiwną wiarę w to, że ani względy strategiczne, ani nacisk wielkich firm nie przeszkodzą komisji w wyborze najlepszego projektu, który to projekt - była o tym święcie przekonana - został opracowany właśnie przez nią.

Na początku nie szło jej najlepiej; jąkała się, poszukując właściwych słów, i zrzuciła ze sztalug jeden z rysunków. Po chwili jednak wyraźnie się rozluźniła. Mówiła płynnie i z podobnym zapałem, z jakim w domu opowiadała mu o swojej pracy u Beatrice Hyde.

Nie słuchał zbyt uważnie jej prezentacji, zauważył jedynie, że Gussy kategorycznie obstaje przy koncepcji dokładnego od-

tworzenia siedemnastowiecznego ogrodu gospodarskiego. Wolał na nią patrzeć.

Słońce, wpadające do środka przez wysokie, łukowate okna, zalało pokój oślepiającym blaskiem. Na tym tle wyraźnie rysował się zarys jej sylwetki, szlachetny profil i doskonała linia karku. Z gracją tancerki poruszała biodrami, kiedy podchodziła do sztalug, gestykulując, wyjaśniając i przekładając swoje rysunki. W pewnej chwili przystanęła i z powagą skinęła głową w kierunku Jellicoe. Wtedy na twarzy mistrza pojawił się ślad uśmiechu.

Od czasu do czasu przerywała i z rękami splecionymi na plecach pochylała się do przodu, oczekując pytań. Odpowiadała chętnie i wyczerpująco, ale nie bała się przyznać, że czegoś nie wie. Jed uznał, że jest zachwycająca.

Poza tym powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, że jej projekt naprawdę jest najlepszy. W przeciwieństwie do niego nie zamierzała zakładać wielkiego ogrodu, który musiałby rosnąć kilkanaście lat. Haversham & Hopewell nie liczyli się z kosztami. Ona brała je pod uwagę, a znając doskonale możliwości ekonomiczne małego miasteczka, opracowała dokładny plan powiększania uprawnych terenów w miarę pozyskiwania funduszy. Dodała do tego grafik prac, które mogliby wykonywać wolontariusze. Całości dopełniała lista roślin i ziół używanych na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku w kuchni oraz stosowanych w medycynie. Wszystko z pełną dokumentacją i podaniem źródeł.

Z tonu, jakim członkowie komisji zadawali Gussy pytania, wynikało, że są równie pozytywnie zaskoczeni jak Jed. Jellicoe sprawdził coś w zielonym skoroszycie i poprosił ją o dalsze szczegóły. Beatrice Hyde nie ukrywała zadowolenia, a głupia mina Isaaka Hopewella warta była każdych pieniędzy.

Gussy skończyła. Zebrała swoje rzeczy i skinąwszy głową

komisji, wróciła na miejsce, radosna i szczęśliwa, że wszystko ma już za sobą. Jed, wychylony do przodu, śledził każdy jej ruch. Trudno byłoby opisać, jak bardzo zmieniły się uczucia, które do niej żywił. Nawet jeśli wciąż bała się przeciwstawić rodzinie, przekonał się, że ma w sobie dość odwagi, żeby to zrobić. Poza tym była szczera, silna i nigdy nie udawała. Niczego więcej od niej nie chciał.

Jeśli chodzi o niego, decyzja komisji nie miała znaczenia. Gussy i tak zwyciężyła. Zdobyła jego serce, o ile oczywiście jeszcze jej na tym zależało.

Przed domem rozległ się ogłuszający ryk klaksonów. Tylko taki dziki hałas mógł oderwać Gussy od jej miejsca obok telefonu, do którego niemal przyrosła w oczekiwaniu na wiadomość o wynikach konkursu.

- Pójdę zobaczyć, co się dzieje - powiedziała do Babki, która zirytowana odłożyła robótkę.

Wbiegła do holu razem z Thwaite'em. Na jego widok podniosła wyniośle głowę. Zdała sobie niedawno sprawę, że stary lokaj liczy się tylko z ludźmi, którzy okazują swoją władzę. Trudno się temu dziwić, skoro przez pięćdziesiąt lat pracował dla Eliasza Throckmortona. A ona wciąż nie była pewna, czy może liczyć na jego dyskrecję w związku z incydentem z Jedem.

Thwaite otworzył drzwi. Gussy zerknęła mu przez ramię i z piskiem zbiegła po schodach.

- April! Tony! Mama! Tatuś!

April nacisnęła jeszcze raz klakson i niemal w biegu wyskoczyła z białego kabrioletu, żeby uściskać siostrę.

- Ale wydoroślałaś, maleńka! - wykrzyknęła.

Gussy zaśmiała się. Widziały się zaledwie siedem tygodni temu na ślubie April. Od tego czasu rzeczywiście wydoroślała, ale nie miała pojęcia, że tak łatwo to zauważyć.

- To ty cudownie wyglądasz! - Gussy swoim zwyczajem natychmiast odwróciła uwagę od siebie. - Oszałamiający z ciebie kociak.

April w obcisłej różowej sukni bez ramion i awangardowych słonecznych okularach, z długim szyfonowym szalem udrapowanym na głowie i ramionach wyglądała jak gwiazdka filmowa z Hollywood.

Zarówno ona, jak i jej mąż, Tony Farentino, byli opaleni na ciemny brąz.

- Czy pamiętasz moją siostrę Gussy, kochanie? - zapytała April, obejmując Tony'ego w pasie. - Ach! Idzie Babka.

Gussy przywitała się szybko ze szwagrem i podbiegła do zwykłego, zielonego samochodu z wypożyczalni, z którego wysiadali właśnie jej rodzice.

- *Merę* - powiedziała po francusku, wiedząc, że zrobi tym największą przyjemność matce, wielkiej frankofilce.

Tylko podczas takich okazji Gussy odkurzała swój szkolny francuski.

Nathalie Fairchild ujęła córkę za łokcie i ucałowała w policzki.

- April ma rację, *cherie* - zaśmiała się perliście. - Naprawdę wydoroślałaś. Filipie! - zwróciła się do męża. - Za długo byliśmy poza domem. Zobacz, co się stało z naszą małą dziewczynką.

- To się musiało kiedyś stać. - Ojciec Gussy, wysoki, siwowłosy mężczyzna, zamknął ją w serdecznym uścisku. - Tęskniliśmy za tobą jak diabli, Gussy, dziecinko.

- Już nie dziecinko! - Nathalie poklepała ją palcem po nosie. - Cieszę się, że posłuchałam rad Mamy i przywiozłam ci zupełnie dorosły prezent.

Ojciec pocałował Gussy w policzek.

- A gdzie jest ten szczęśliwy młody człowiek... - zaczął,

ale Nathalie natychmiast go uciszyła i pobiegła przywitać się z Marian.

Gussy zmrużyła oczy. Co naopowiadała im Babka? Czyżby była taka pewna, że Gussy wyjdzie za mąż zgodnie z dyrektywami jej i pradziadka? Na tyle pewna, żeby poinformować rodziców o zaręczynach, zanim jeszcze do nich doszło?

Nagle April wydała z siebie nieartykułowany radosny okrzyk i wbiegła na schody, żeby uściskać Godfreya, który stanął w drzwiach w czerwonej bandanie na łysej głowie, skórzanych spodniach i fartuchu przewiązanym przez nagi tors. Filip i Nathalie oniemieli na moment, ale nie na długo. Zaraz też zgarnęli Tony'ego oraz Marian i weszli do środka, śmiejąc się i opowiadając o ostatniej podróży do Maroka. W powietrzu krzyżowały się różne egzotyczne nazwy, takie jak Marakesz, Rabat czy Casablanca

Gussy zatrzymała się w wejściu. Zawsze tak robiła, kiedy czuła się przytłoczona, nieważna i opuszczona. Dzisiaj było inaczej. Nie do końca, ale jednak inaczej. Poczucie własnej wartości nie opuściło jej nawet teraz. Ona też ma im coś do powiedzenia. I nie przejmie się, jeśli usłyszy od nich, że takie drobne przygody przydarzyć się mogą tylko na prowincji, z dala od świata wyrafinowanych podróżników.

April zaciągnęła Gussy do sypialni, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Cała rodzina usłyszała już o pracy z Beatrice Hyde oraz udziale w konkursie na ogród w Peąuot, ale ona była pewna, że siostra jeszcze coś kryje w zanadrzu.

- No więc, moja mała siostrzyczko - usiadła po turecku na łóżku - czekam na sensację. Muszę wiedzieć wszystko.

Gussy przyjrzała się April. Nie było wątpliwości, że jej siostra jest szczęśliwa. Duże brązowe oczy April lśniły zadowoleniem, którego nie było w nich wcześniej, kiedy jako nastolatka popełniała szalone głupstwa jedno po drugim.

- Opowiedz najpierw o swojej podróży poślubnej. Wszystko wskazuje na to, że lubisz być mężatką.

April dała się podejść.

- Owszem, owszem - przyznała z wieloznacznym uśmieszkiem. - Sama nie wiem, od czego zacząć... - Przeciągnęła się z zachwytem, po czym spojrzała w twarz nowej Gussy i zaśmiała się cicho. - Ale chyba nie muszę zaczynać, bo ty już wiesz.

Gussy zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Kto to jest? - dopytywała się April. - Na pewno nie ten sztywniak Andrews Lowell, jak utrzymuje Babka.

Gussy mruknęła, że nie.

- Billy Tuttle? Peter Gilmore? Erik Huggins? - April wymieniała kolejne imiona, a Gussy coraz energiczniej kręciła głową.

- Ktoś nowy? Nie znam go? Czy zdarzyło się coś, co Babka nazwałaby skandalem? - April wydęła usta i zmarszczyła czoło. - Jakiś profesjonalny tenisista? Listonosz? Ogrodnik? Masażysta pradziadka?

April przerwała, widząc zmienioną nagle minę Gussy.

- Nazywa się Jed Kelley i jest naszym nowym ogrodnikiem. - Gussy padła na łóżko i zakryła oczy rękami.

April oniemiała. Potem pogłaskała Gussy po nodze, jakby chciała dodać jej otuchy.

- No, no!

- Właśnie tak - mruknęła Gussy.

- Czy to poważne?

Gussy uśmiechnęła się do siebie.

- Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o sobie i Tonym? O tym, jak zaprosiłaś go na kolację z szampanem i potem... sama wiesz...

- Jasne, że tak. Do dzisiaj twierdzę, że uwiodłam go w wielkim stylu.

April także uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Zrobiłam to samo z Jedem. Tylko że w końcu to on uwiódł mnie.

- Skąd ja to znam... - April z wszystkowiedzącą miną pokiwała głową. - Ale opowiedz mi o nim.

Gussy zamyśliła się głęboko. Nie mogła znaleźć słów. W końcu zrobiła nieokreślony ruch rękami.

April patrzyła na siostrę rozpromieniona.

- Kochasz go? Po co ja pytam? Przecież to widać na pierwszy rzut oka.

- Widać? - Gussy uniosła się na łokciu.

- Nawet ślepy by zauważył.

- Ani Babka, ani pradziadek nie zauważyli.

April machnęła ręką, dając do zrozumienia, że ta dwójka się nie liczy.

- Z nimi jest inaczej. Oni są ślepi z własnego wyboru. Przejrzą na oczy dopiero wtedy, kiedy zmusisz ich, żeby zobaczyli prawdę. Chyba się domyśliłaś, że Babka oznajmiła rodzicom, iż masz zamiar wyjść za Andrewsa?

Gussy znowu padła na łóżko i zaczęła pięściami okładać materac.

- Wiem, że muszę im to powiedzieć, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić.

- Możesz z nim uciec i oszczędzić sobie niemiłych przejść.

- Nie chcę uciekać. Chcę stanąć przed rodziną i głośno powiedzieć: „Kocham Jeda Kelleya i nie możecie mi w tym przeszkodzić".

Gussy wpatrzyła się w baldachim nad łóżkiem z nadzieją, że zobaczy tam siebie jako dojrzałą kobietę, która bierze los w swoje ręce. Psycholodzy twierdzą, że wizualizacja może czynić cuda...

- Pragnę, żeby Jed był ze mnie dumny. I nie chcę nikogo przepraszać, że jesteśmy razem.

April wzięła Gussy za rękę i zmusiła, żeby usiadła.

- W takim razie twoje urodzinowe przyjęcie będzie najlepszą okazją, żeby to zrobić. Możesz liczyć na moją pomoc. Tony też weźmie twoją stronę.

Gussy zgarbiła się z nieszczęśliwą miną. Umiała sobie wyobrazić tylko to, że w ostatniej chwili wycofuje się ze strachu.

- Przecież wiesz, że jestem tchórzliwą myszą.

- Już nie! - April uścisnęła jej dłonie. - Nigdy więcej.

Gussy wyszła na taras, niosąc kwiatową kompozycję, która miała stanąć na środku ładnie nakrytego stołu. Wieczór był piękny. W oddali szumiał ocean, zapach sosen i kwitnącego w wielkich donicach geranium mieszał się w powietrzu, a ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się w wodzie.

Nadszedł czas, powtarzała sobie po raz setny tego dnia. Nadszedł czas, żeby nowa Gussy przyznała publicznie, co zamierza zrobić - oczywiście o ile stara Gussy na to pozwoli.

Rzadko kiedy zdarzała się taka okazja , żeby cała rodzina zebrała się przy stole. W dodatku z okazji jej urodzin. Wspaniale byłoby zostać gwiazdą wieczoru... Pokierować własnym życiem.

Niestety, stara Gussy ciągle istniała. I co gorsza, zastanawiała się, co będzie, jeśli pradziadek nie zaakceptuje Jeda i unieważni jej prawo do zarządzania majątkiem po ślubie. Co będzie, jeśli rodzice okażą się równie niezadowoleni jak Babka?

Mogła pogodzić się z utratą pieniędzy, szczególnie teraz, kiedy okazało się, że umie zarobić na życie, ale pragnęła akceptacji i pochwał ze strony rodziców. Zawsze jej na tym zależało. Chyba dlatego przez całe życie była taka posłuszna. Tymczasem oni zachwycali się żywym charakterem April i jej szaleństwami.

Gussy nie zdobyłaby się na coś podobnego. Była zbyt nudna i zbyt spokojna. Tak przynajmniej twierdziła ona sama.

- Gratulacje, Gussy.

- Jed?

Wyszedł z ogrodu różanego, przystojny jak zwykle, mimo że miał na sobie znoszone robocze dżinsy i starą koszulę.

- Gratulujesz mi z okazji osiągnięcia dojrzałego wieku dwudziestu pięciu lat? - zaśmiała się.

- Nie znasz najnowszej nowiny? - Podszedł bliżej, z szerokim uśmiechem i zadowolonym błyskiem w oku. —Wygrałaś, Gussy. Przed chwilą rozmawiałem z jednym z członków komisji.

- Nikt mnie o tym nie zawiadomił - powiedziała, kiedy wreszcie udało się jej zaczerpnąć tchu.

- Może telefonowali do pani Hyde?

Gussy zrobiła ostrożny krok, jakby chciała przekonać się, czy aby nie śni.

- Czy to żart? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Jed pogłaskał ją po twarzy i po włosach grzecznie wsuniętych pod jedwabną opaskę. Przez chwilę bawił się delikatnie jej kolczykiem w kształcie łezki.

- Uwierz, kochanie. Mogę się założyć, że wśród wszystkich zainteresowanych jesteś jedyną osobą, którą zaskoczyła ta decyzja.

Pocałował ją w policzek. W jednej chwili miała nogi jak z waty.

Co to znaczy? - Chwyciła za pasek jego spodni. - Przepraszam, ale muszę usiąść.

Jed przyniósł jej krzesło i posadził ją na nim ostrożnie.

- To znaczy, że twój projekt był najzwyczajniej w świecie najlepszy. Udało ci się nawet przekonać samego Jellicoe, co jest nie lada osiągnięciem. Moje gratulacje, Gussy. Naprawdę jestem z ciebie dumny.

Powoli przyzwyczajała się do tej nowiny. W głowie miała pustkę, w oczach widziała gwiazdy.

- Udało mi się - powtarzała.

- Tak. Jesteś wspaniała. Nie mówię, że genialna, bo nie chcę stracić wszystkich klientów za jednym zamachem.

Zaśmiała się głośno. Nigdy jeszcze nie słyszała podobnej pochwały.

- I nie jest ci przykro, że przegrałeś?

Uścisnął jej rękę i uśmiechnął się.

- Przeżyję jakoś ten zawód.

W tym momencie na tarasie pojawiła się Marian Throckmorton w chanelowskim kostiumie, z kilkoma szklanymi świecznikami w ręku.

- Powinniśmy ustawić... - zamilkła jak rażona piorunem. - Augustyno?

- Babciu! Mam wspaniałą nowinę. - Gussy nie puszczała ręki Jeda, mimo że on w pierwszej chwili chciał się wycofać. - Ale poczekajmy, aż zjawią się wszyscy. Zaraz, zaraz. Czy nie było do mnie żadnych telefonów?

Marian nawet nie drgnęła.

- Thwaite odebrał telefon do ciebie, ale powiedziałam, że nie będziemy zakłócać twoich urodzin jakimiś tam głupstwami.

Przeniosła wzrok z Gussy na Jeda, a potem na ich złączone dłonie.

- Augustyno? - powtórzyła.

- Babcia nie miała prawa robić czegoś podobnego - wybuchnęła Gussy. - To był telefon, na który bardzo czekałam.

- Augustyno!

Gussy zamarła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, co zrobiła. Jed poczuł drżenie jej ręki.

Na taras wpadła April z dłońmi wciśniętymi głęboko w kie-

szenie szmaragdowego szlafroka. Włosy miała związane byle jak na samym czubku głowy.

- Czy ktoś wziął moje mydło? Nie robiłabym takiego rabanu, gdyby to nie był zupełnie nowy kawałek perfumowanego mydła od Heleny Von Duberstein. Trzydzieści sześć dolarów za sztukę. Tony mówi, że w Gwatemali nie można ich kupić, więc chciałabym mieć je z powrotem.

Dopiero teraz zauważyła Jeda i uśmiechnęła się czarująco.

- A kimże jest ten piękny młodzian?

Jed odpowiedział uśmiechem.

- Ja też nie mogę natrafić na ślad moich mydeł.

Gussy wzięła się w garść.

- April, to jest Jed Kelley. - Podniosła rękę, zapominając, że wciąż trzyma ją w dłoni Jeda.

Marian oczy o mało nie wyszły na wierzch ze złości.

- Jed, April Farentino, moja siostra - dokończyła Gussy słabym głosikiem. - Wesz, April, wydaje mi się, że Jed uważa, iż kradnę mu mydła.

Babka wypuściła z sykiem powietrze z płuc. Był to pewny znak, że Gussy powiedziała coś karygodnego.

- To dziwny i tajemniczy zbieg okoliczności. Ciągle giną mydła - powiedział Jed do April ze śmiertelnie poważną miną.

- Całkowicie zaskakujący - zgodziła się April radośnie.

W tym momencie Gussy przypomniała sobie o tym, co wyprawiał Percy jako szczeniak. Nie było to tak bardzo dawno temu.

- Percy! - Rozejrzała się po tarasie. - Percy!

Spod stołu dobiegł cichy szelest. Wszyscy oprócz wciąż niezdolnej do ruchu Marian schylili się i zobaczyli Percy'ego, który z zadowoloną miną machał ogonem. Z pyska wypuszczał pachnące banki mydlane.

- Percy! Ty niegrzeczny psie! - Gussy wyciągnęła zwierzę na środek tarasu. Potem spojrzała przepraszająco na April i Jeda.

- Zupełnie zapomniałam, że on kocha mydło. Wszyscy odruchowo chowamy nasze mydła.

- W takim razie na zdrowie - zachichotała April. - Mam nadzieję, że lubi zapach fiołków. Miałeś deser za trzydzieści sześć dolców - zwróciła się do psa.

- Małe hotelowe mydła, które zjadał u mnie, musiał traktować jako małe przekąski - zawtórował jej Jed.

- Lubi też balsam do ciała. Zawsze mnie liże... - Gussy nie dokończyła, gdyż Marian nie mogła znieść tej rozmowy.

- April, proszę wracać do domu. W tym stanie nie możesz pokazywać się publicznie. Augustyno! Zamknij psa. Potem przyjdź do mnie do biblioteki. Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

April na palcach podeszła do szklanych drzwi. Po drodze zrobiła kilka min w stronę Babki.

- Jed, mam nadzieję, że zostajesz na kolacji. Świętujemy urodziny Gussy. Za dziesięć minut. O rany! - Dotknęła swoich włosów i już jej nie było.

- Zapraszam cię serdecznie - powiedziała szybciutko Gussy, uważając, żeby nie napotkać wzroku Babki. Ważny był tylko błękit oczu Jeda. - Przyjdź, proszę.

- W porządku. - Uścisnął jej dłoń po raz ostatni. - W takim razie, do zobaczenia pani. - Skłonił głowę przed Marian i najspokojniej w świecie się oddalił.

Gussy natomiast postanowiła stawić czoło Babce. Nie da się zagonić na „poważną rozmowę" do biblioteki. Nie jest małym dzieckiem, które coś przeskrobało!

- Babciu... - Nogi drżały jej ze strachu, jednak nie przestawała mówić. - Zaraz wyprowadzę Percy'ego, ale uważam, że w tej chwili nie mamy czasu na rozmowy na osobności.

O dziwo, Marian spojrzała na zaciśnięte szczęki zbuntowanej nagle wnuczki i ustąpiła.

- W takim razie powiem to teraz, Augustyno. I namawiam cię do uważnego słuchania. Andrews także został zaproszony na dzisiejsze przyjęcie. Ja oraz twój pradziadek mamy nadzieję, że będziemy świętować dzisiaj coś więcej niż twoje urodziny. Pan Kelley jest tylko ogrodnikiem i nie widzę powodu, żeby miał brać w tym udział.

- Tak, Babciu - odparła Gussy jak za naciśnięciem guziczka.

Gussy zaczęła powoli odpakowywać prezent urodzinowy od Andrewsa. Spod eleganckiego papieru wychynęło małe aksamitne pudełeczko.

A więc nadszedł czas, pomyślała, zaciskając zęby. Nie wolno dłużej czekać. Muszę to zrobić szybko. Otworzyła pudełko. W środku był pierścionek - sporych rozmiarów brylant otoczony wianuszkiem drobnych diamencików oraz czterema ostentacyjnie czerwonymi rubinami. Zatrzasnęła wieczko. Jeden rzut oka wystarczył, żeby zrozumieć, na czym polega różnica gustów jej i babki Andrewsa.

On sam też musiał to rozumieć, bo przez cały czas zerkał na Jeda siedzącego na drugim końcu stołu i nerwowo przygryzał wargi. Biedny Andrews. Chciał dobrze, ale nawet nie zauważył, kiedy stał się ofiarą manipulacji Babki.

Przyjęcie trwało w najlepsze.

Korzystając z hałasu, jaki zrobił Thwaite, wtaczając na kamienny taras wózek z deserami, Gussy najdyskretniej jak umiała, oddała pudełko Andrewsowi.

- Bardzo mi przykro, Andrews - szepnęła - ale nie mogę tego przyjąć.

- Tak podejrzewałem, ale twoja babka nalegała.

- Augustyno! - Marian siedząca u szczytu stołu wyciągała szyję w ich kierunku. - Pokaż nam, co dostałaś od drogiego Andrewsa. Na pewno wymyślił coś odpowiedniego.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam. - Gussy udawała, że nie słyszy Babki. - Nigdy nie chciałam urazić twoich uczuć. Dlaczego nie umówisz się z Sally Barnes? Powiedziała mi kiedyś, że podobasz się jej:

- Sally? Ta ruda z piegami? Ale ona jest miejscowa.

- No to co?

- Augustyno! - Marian nie zwykła ustępować. - Po swój prezent, proszę.

Gussy wstała.

- Ponieważ nie przyjęłam prezentu od Andrewsa, nie mogę go pokazać. To byłoby niegrzeczne

- Ależ my, dziewczynki, które noszą nazwisko Fairchild nigdy nie bywamy niegrzeczne. - April parsknęła śmiechem i puściła oko do męża.

- Nalegam. - Marian z całych sił starała się opanować.

- *Non* - wtrąciła się Nathalie. - Mamo, Gussy najwyraźniej podjęła decyzję i nam nie wolno się wtrącać.

- Czy to znaczy, że ona nie chce wyjść za Andrewsa? - Filip, który całkiem się pogubił, zmarszczył brwi.

- Nigdy nie chciałam wyjść za Andrewsa - obwieściła Gussy głośno i wyraźnie.

Poczuła się świetnie. Wydawało się jej, że góruje wzrostem nad innymi. Nikt jej nie pokona. Jest niedotykalna. Nic nie mogło jej już powstrzymać, nawet...

- Pradziadek! - krzyknęła.

Właśnie w tej chwili popołudniowa pielęgniarka, panna Ingersdottir z Islandii, wtoczyła na taras staroświecki fotel inwalidzki zrobiony z ratanu i drewna tekowego. Eliasz kategorycznie odmawiał korzystania z wszelkich nowości.

Towarzystwo ucichło. Słychać było tylko skrzypienie kół i szum morza. Potem zrobił się gwar, bo wszyscy przekrzykiwali się, witając seniora rodu.

Eliasz uciszył zebranych jednym palcem. Przez chwilę rozglądał się po pokoju oświetlonym tylko blaskiem świec. Od lat słabo widział, zdarzało się nawet, że nie rozpoznawał członków swojej rodziny.

- Czy to ty - wbił wzrok w Jeda - chcesz oświadczyć się mojej prawnuczce?

Marian głośno wciągnęła powietrze. Odwróciła się i zaczęła dawać gwałtowne znaki Andrewsowi.

- Tak - odpowiedział Jed.

Teraz Gussy oddychała głośno. Bała się, że fala wzruszenia zmyje ją z miejsca, w którym stoi. April wzięła ją za rękę, Tony wstał i objął ją wpół krzepiącym uściskiem.

- Jestem tutaj, żeby zobaczyć, czy oświadczasz się jak należy. - Staruszek wycelował w Jeda chudy jak patyczek palec wskazujący.

Jed chciał przyjrzeć się tyranowi, przed którym drżał cały dom, ale niewiele dało się zobaczyć pod stosem koców i pledów. Eliasz Throckmorton był drobnym, szczupłym człowieczkiem ze skórą jak pergamin i kruchymi członkami. Panował nad rodziną wyłącznie siłą woli. Ale czując na sobie jego spojrzenie, Jed też skłonił głowę.

- Jak pan sobie życzy, sir - powiedział.

- To jest Andrews Lowell. - Marian wypychała Andrewsa do przodu. - Nie stój, mów coś - syczała mu do ucha.

- Którego z nich Gussy wybrała? - dopytywał się Filip.

- Dobre pytanie. - Nathalie przenosiła podniecony wzrok z jednego kandydata na drugiego. - O la la. Bardzo interesująca historia.

- Co? Kto? - Eliasz nadstawił ucha.

- Od morza idzie zimny powiew - powiedziała pielęgniarka. - Musimy iść.

- Teraz! - nakazała Marian Andrewsowi.

- Nigdy nie wyjdę za... - zaczęła Gussy.

- Owszem, wyjdziesz - zaskrzeczał Eliasz jak zdarta płyta. - Poleciłem ci poślubić tego młodego człowieka i zrobisz to! On ci cię zaraz oświadczy, a ty przyjmiesz oświadczyny.

Gussy patrzyła na Jeda, przesyłając mu niemy komunikat. Ale on nie potrzebował ponagleń. Dobrze wiedział, co chce zrobić.

- Teraz! - powtórzyła Marian i Andrews posłusznie otworzył usta.

Gussy zamknęła oczy, żeby łatwiej było jej odmówić. Jed musiał usłyszeć jej „nie".

I wreszcie straszne pytanie padło.

- Czy wyjdziesz za mnie, Gussy?

Kilka godzin później Gussy dotarta do sypialni, szczęśliwa, że nareszcie może odpocząć. Hałas, który rozległ się dokoła niej, po tym jak powiedziała „tak", miał siłę tornada. Ona stała nieporuszona, spokojna, pewna, że zrobiła najwłaściwszą rzecz pod słońcem. Na szczęście pradziadek nie rozumiał, co się dzieje, a siostra Ingersdottir wywiozła go w głąb domu tak szybko, że Babka nie zdążyła go dopaść i namówić, żeby zaprotestował przeciw temu, co się stało.

Zresztą i tak było już za późno. Zaręczyny stały się faktem nie do podważenia.

Gussy zrzuciła buty i powoli rozpięła sukienkę. Blask księżyca padał na poduszki i długą, czerwoną różę, która leżała na wierzchu.

Każdej nocy, nawet dzisiaj, Jed zostawiał jej kwiat. Przytuliła aksamitne płatki do policzków.

- To zasługa Godfreya - rozległ się głos z ciemności.

Jed wstał z fotela i podszedł do niej.

- Przekupiłem go. Ale jestem pewien, że w głębi ducha cieszył się, że to robi.

- April nie raz mówiła, że Godfrey to przebrany Amor. A ja jej nie wierzyłam - roześmiała się Gussy.

Stali przytuleni do siebie. Gussy dotknęła nosem policzka Jeda.

- Miałem nadzieję, że zobaczę cały striptiz. - Pocałował ją i powoli rozpinał jej stanik.

- Jed! Tutaj? Pod nosem Babki? W zasięgu radarów, które Thwaite ma w uszach?

- Jeśli nas przyłapią, będę musiał ożenić się z tobą, żeby zrobić z ciebie uczciwą kobietę.

- I tak musisz to zrobić! Zobowiązałeś się do tego publicznie. A ja o mało nie powiedziałam wtedy „nie". Byłam tak zdeterminowana, żeby odmówić Andrewsowi, że dopiero po chwili zorientowałam się, kto mi się oświadcza.

- Więc myślisz, że nie będziemy musieli uciekać z domu?

- Myślę, że nie. Moi rodzice chyba cię lubią, a pradziadek nigdy nie cofa raz wypowiedzianego słowa, a ponieważ ja przyjęłam twoje oświadczyny...

- Myślę, że oni wszyscy ustąpiliby, gdyby wiedzieli, że mój przodek przypłynął do Ameryki na „Mayflower". Przy sterze stał jakiś Kelley.

- Żartujesz sobie.

- A jak myślisz? Skąd wziąłem zaproszenie do jachtklubu? Mój ojciec jest komandorem jachtklubu w Marblehead. Wystarczył jeden telefon...

- Wcale nie jestem pewna, czy chcę mieć męża z tak dobrymi koligacjami... - Gussy udała, że się zastanawia, ale zaraz wybuchnęła śmiechem. - Przecież najbardziej podobało mi się w tobie, że jesteś taki dziki i nieokrzesany.

- Jeśli chcesz, możemy wychodzić do ogrodu i kochać się na trawie. Albo na grządkach.

- I obiecasz mi - położyła mu dłonie na pośladkach - że nigdy nie pozbędziesz się tatuażu?

- Tego tatuażu nie da się pozbyć, kochanie.

- A czy będziesz miał coś przeciwko temu, żebym ja też coś sobie wytatuowała?

Przytulił twarz do jej brzucha, potem przesunął językiem po nabrzmiałej z podniecenia piersi.

- Tutaj? - zapytał.

- Tak. To będzie serce. Serce z napisem: Jed. Takie, którego nie można się pozbyć.